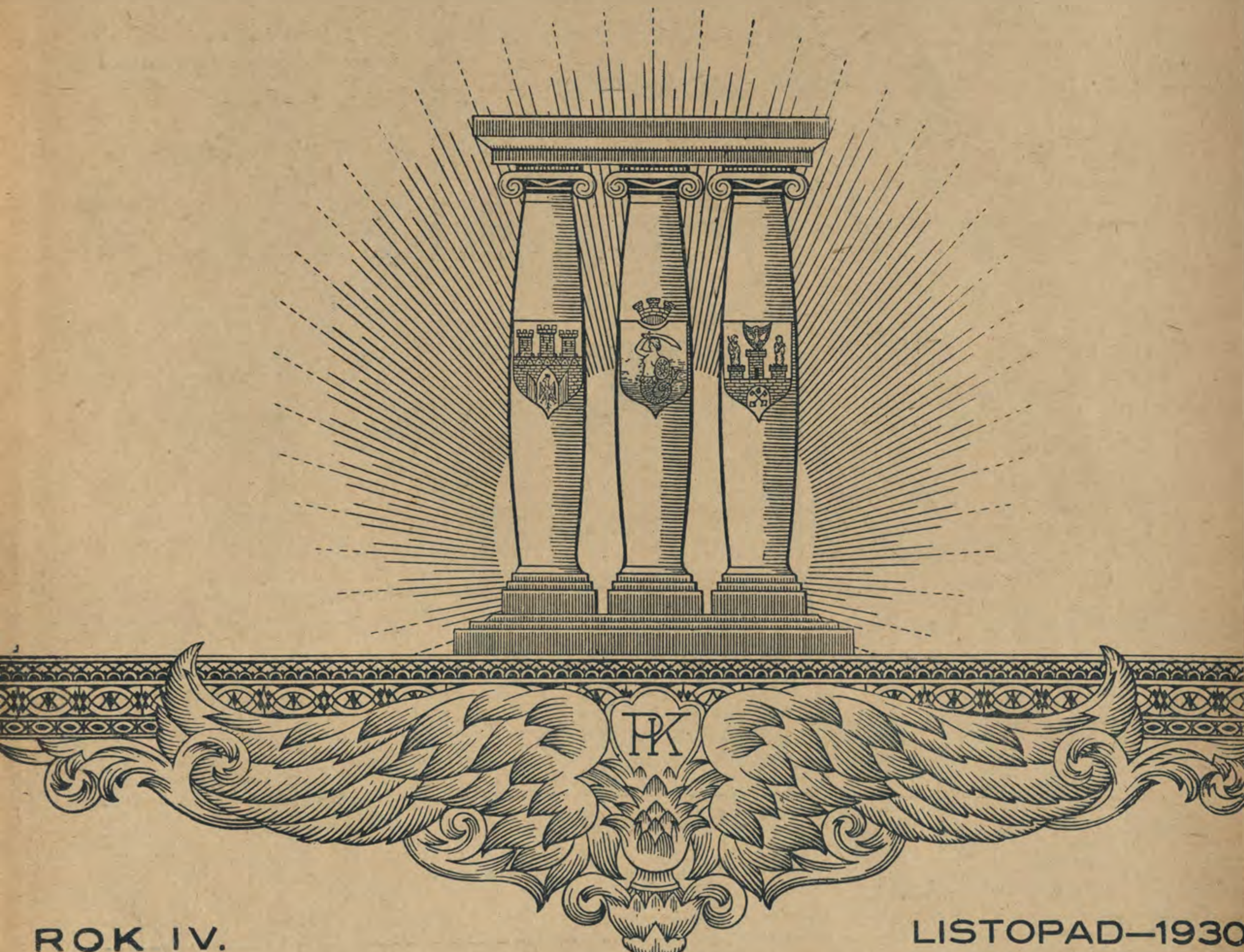
RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ROK IV. LISTOPAD—1930

WARSZAWA

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ“ W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:
ROCZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 8	Ameryka	dolary 2
Francja	frank. 35	Inne kraje	fr. szw. 10

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.; KWARTALNA — 2.50 zł. Cena POJEDYNCZEGO numeru 1.— zł.

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 503-59. P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3—5 popołudniu. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
ROK IV. WARSZAWA, LISTOPAD 1930



Gen. Józef Sowiński.

CHWAŁA ZWYCIĘŻONYM
1830 — 1930



Śmierć generała Sowińskiego na szańcach Woli.



Pole bitwy pod Grochowem.

„Dzień krwi i chwały". rozpoczynający Powstanie Listopadowe — nie stał się zapowiedzią „dnia wskrzeszenia". „Jutrzenka Swobody", która na krótko zaświeciła nad Polską, nie była wówczas poprzedniczną—„Zbawienia Słońca". Wielki entuzjazm narodu, olbrzymi wysiłek energji i bohaterski trud polskiego żołnierza—nie przyniosły umęczonemu krajowi wyzwolenia. Wodzom brakło woli zwycięstwa i wiary w siły narodu. Kielich goryczy nie był jeszcze do dna wychylony. Na zegarze dziejowym nie wybiła godzina zmartwychwstania. Ale krew bohaterów raz przelana nigdy nie idzie na marne. Jest ona posiewem wolności, jest przymierzem pomiędzy pokoleniami i testamentem wnukom przez dziadów przekazanym. I oto wśród huku dział Wojny Ludów — potargał swe pęta Orzeł Biały, oto Polska Wolna i Zjednoczona — w Setną rocznicę Nocy Listopadowej pochyla swe sztandary na pobojowiskach Wawra. Igiań, Grochowa, Ostrołęki i Woli. I jak Rzeczpospolita szeroka i długa brzmi okrzyk pełen czci dla bojowników wolności, którym Bóg nie pozwolił ujrzeć w majestacie wyzwolenia Matkę Ojczyznę: Chwała Zwyciężonym.

POWSTANIE LISTOPADOWE

(1830 — 1930)

Listopad 1930 r. rozpoczyna cały szereg uroczystości w kraju i wśród Polonji zagranicznej, związanych z setną rocznicą wybuchu Powstania Listopadowego, kiedy to powstał naród polski z poniżenia i uległości z męskiem przedsięwzięciem niepowrócenia więcej do więzów, które skruszył, niezłożenia oręża przodków aż wywalczy niepodległość i potęgę.

Zanim jednak przystąpimy do omówienia samego faktu, warto przyglądnąć się pokrótce choć zdala stanowi, jaki wytworzył się w Europie po Kongresie Wiedeńskim, na którym ostatecznie wymazano Polskę z karty państw niepodległych. Wprawdzie Anglja, Austrja i Francja pragnęły niepodległej Polski, ale stanowczo sprzeciwiły się temu Rosja i Prusy. Aby więc zamydlić światu oczy, utworzono z części Księstwa Warszawskiego kraj z pewną samodzielnością pod nazwą Królestwa Polskiego, które od Kongresu Wiedeńskiego zwano Kongresówką, połączony na zawsze z Rosją. Każdorazowy car rosyjski miał być zarazem królem polskim. W owym czasie był nim car Aleksander I. Ten nadał Kongresówce konstytucję, zezwolił na założenie uniwersytetu w Warszawie. Dowództwo nad wojskiem w Królestwie oddał bratu swemu w. ks. Konstantemu, który wychowany na zasadach despotycznych, łamał na każdym kroku konstytucję, drażniąc tem Polaków. Nie pozwalał na zwykłe obchody w rocznice ogłoszenia Konstytucji 3-go Maja, utrudniał swojemi przepisami wszelkie prawie stosunki wojskowych z mieszkańcami stolicy, zaprowadził zamaskowany stan oblężenia, wyzywał publicznie, znieważał i bił oficerów i żołnierzy. O nim to pisze współczesny mu historyk nasz Joachim Lelewel, że „było to prawdziwe zwierzę drapieżne, dogadzające swym chuciom z obrazą ludzkości".

Takie postępowanie zmuszało wprost Polaków do obrony praw na drodze nielegalnej w tajnych stowarzyszeniach. Okrucieństwa więc Konstantego były jedną z przyczyn Powstania Listopadowego. Utworzyła się opozycja w narodzie i w Sejmie, a ruch wszczęła polska młodzież wojskowa, ucząca się w Szkole Podchorążych. Duszą spisku był przydzielony do tej szkoły Piotr Wysocki. Już w r. 1829 byłoby przyszło do wybuchu powstania przy okazji koronacji cara Mikołaja I, następcy Aleksandra I. Cała rodzina carska miała być wystrzelaną. Podchorążowie mieli ostre ładunki i czekali na komendę: „ognia". Wskutek jednak napomnień starszych sprzysiężonych, głównie Niemcewicza, odstąpiono od zamiaru.

Oprócz podchorążych była czynna młodzież akademicka. Przemyśliwano kiedy wywołać powstanie, gdy w tem zaszły wypadki, które wybuch przyśpieszyły.

Rozniosła się wiadomość, że Mikołaj I. wydał rozkaz mobilizacji w zamiarze ruszenia na Zachód, celem zgniecenia rewolucji belgijskiej i przywrócenia Burbonów we Francji, a jako awangardę tej wyprawy wybrał armję polską.

Zawrzała praca wśród spiskowców. Propaganda w wojsku zaczęła się postępować raźniej. Dla łatwiejszej agitacji każdy pułk podzielono na sekcje, w których znajdowało się parę spiskowców. Wybuch powstania wyznaczono na 18 października 1830 r. Sygnałem miało być zatrzymanie i uprowadzenie w. księcia Konstantego. Ale wtedy uznano, że to przedwczesne. Wybuch odłożono. Kiedy jednak dłużej odwlekać nie można było, dzień powstania wyznaczono na 29 listopada. Zapalenie browaru na Solcu było hasłem do boju.

Gdy się to stało, wpadł do sali wykładowej w Szkole Podchorążych Piotr Wysocki, a dobywszy szpady zawołał:

— Polacy! Godzina zemsty wybiła. Dzisiaj zwyciężymy albo polegniem! Naprzód więc w bój o wolność! Do broni chłopcy!

Młodzieży w szkole było 160, ale zręczniejszych kawaljerów i strzelców żadne wojsko nie miało. Sformowawszy się więc, cały ten nieustraszony oddział pospieszył do pobliskich koszar, aby uderzyć na trzy pułki jazdy rosyjskiej. W owym bowiem czasie prócz załogi polskiej w Warszawie, liczącej 8.000 wojska, stało również 5.400 Rosjan.

Dzielna młodzież po krótkiej walce wtargnęła do koszar. Moskale myśląc, że mają do czynienia z licznemi hufcami umknęli.

Nie udało się jednak pochwycenie Konstantego. Podchorążowie wszakże zrobili swoje, a to co tej nocy działo się było figurą i przepowiednią całego powstania listopadowego. Z jednej bowiem strony w warstwach wyższych narodu, a co fatalniejsza w starszyznie wojskowej, brakło wiary w powodzenie sprawy, z drugiej Rosjan ogarnął z początku lęk, bezwład, obawa przed powstaniem. Konstanty przerażony wybuchem powstania zgromadził pod miastem rosyjską jazdę i wysłał artylerję przeciwko podchorążym. Ci jednak odparli wszelkie ataki i postąpili ku arsenałowi. Tam zastano w pogotowiu czwarty pułk piechoty polskiej, który później okrył się nadzwyczajną chwałą. To słynni „Czwartacy". Nasi wyrzucili z arsenału 36.000 sztuk broni palnej i 11.000 siecznej.

Lud uzbrajał się. Zatoczono kilka dział w główne ulice. O tem jednak nie pomyślano, że wielki książę i Moskale byli tak przerażeni, że śmiały atak z polskiej strony byłby ich całkowicie rozprószył.

Mieszkańców jednak Warszawy ogarnął entuzjazm niemały. Wszystko co żyło i czuło po polsku wyległo na ulice wołając: „Niech żyje wojsko polskie". Ludzie wybiegali z tłumu, rozrywali szeregi, ściskali podchorążych. Z okien wysłanych kobiercami, kobiety powiewały chustkami. Sztandary zdobiono wieńcami. Na wszystkich prawie murach ukazał się wielkiemi literami wypisany wiersz wieszcza naszego Mickiewicza.

— Witaj jutrzenko swobody, za tobą zbawienia słońce!

Poetycka bowiem działalność Mickiewicza przyczyniła się w wysokim stopniu do rozbudzenia ducha przez wydanie „Ody do młodości" i „Konrada Wallenroda", które to utwory przygotowały grunt do działania patrjotów, mających na celu oswobodzenie Ojczyzny.

Ale o jednem najważniejszem nie pomyślano — komu poruczyć dowództwo powstania, kto ma objąć zarząd cywilny krajem. Wszystko zdano na łaskę losu i przypadku. Mówiono jakby: „zaczniemy rewolucję, naród do niej przystąpi i władzę sobie ustanowi, a starsi wiekiem i doświadczeniem staną na czele narodu"

Oglądano się na generała Chłopickiego, ale ten ociągał się. Był to żołnierz napoleońskiego pokroju,



Generał Józef Dwernicki.



Generał Jan Skrzynecki.



Generał Józef Chłopicki.

przyzwyczajony do wojny regularnej, do wojska karnego, wyćwiczonego i zaopatrzonego obficie we wszelkie potrzeby. Tylokrotny pogromca Hiszpanów lekceważył ruchawkę, a do spisku i niewczesnych ruchów miał wstręt nieprzezwyciężony. Opanowany jakimś niewytłumaczonym obłędem, spodziewał się, niewiadomo na jakiej podstawie, rewolucji w Rosji, to znów zapewniał, że Konstanty, mając honorowe wyjście ułatwione, będzie pośrednikiem między narodem a carem, bo „ma dobre serce i kocha nas“. Kiedy ogłoszono go dyktatorem dn. 5 grudnia — Chłopicki zamiast powstanie rozwijać, tłumił jego pęd naturalny z początku żywiołowo silny. Nawoływania do uzbrajania pospolitego ruszenia zbywał cierpkiemi uwagami mówiąc, że im więcej będzie tej ruchawki powstańczej, tem więcej ludzi napróżno zginie. Gdy liczni żołnierze z pułków księcia uciekli do Warszawy, Chłopicki kazał ich napowrót odstawić pod strażą.

Nie lepiej działo się za dyktatury Skrzyneckiego. Nie brak było wprawdzie generałów, ale ci nie byli w stanie pozyskać sobie zaufania w sferach rządowych i bądź usunięci ze służby, bądź użyci w sposób nieodpowiedni, zmarnowali energję i zdolności.

Wspomnieć tutaj wypada szefa sztabu gen. Chrzanowskiego i głównego kwatermistrza gen. Prądzyńskiego, który odznaczał się niesłychaną przytomnością umysłu, odwagą osobistą, rzadkiem darem orjentowania się i tą stanowczością, która imponuje ludziom, a żołnierzy napełnia zaufaniem i do bohaterskich czynów porywa. Genialny przytem strategik i znakomity wódz, czego dowiódł na polu bitwy pod Iganiami.

Ale wróćmy do owej nocy 29 listopada. Zaraz po wypędzeniu Moskali zebrała się Rada Administracyjna, która wydała odezwę, wzywającą do rzucenia broni. Była to t. zw. przeciwrewolucja, urządzona przez ministra skarbu Królestwa księcia Lubeckiego. Nie zważano jednak na to. Wszystko w mieście garnęło się pod znaki narodowe. Ale cóż znaczył zapał narodu, kiedy komenda wojskowa, jak wyraził się Mochnacki, mroziła entuzjazm, przykładała lód do bijącego gwałtownie serca Polski. Chłopicki śle poselstwo do Petersburga, że naród gotów poddać się, naród, który w większości swej gotów był do największych wysiłków.

Z formowaniem się rządu także szło powoli. Dopiero 29 stycznia utworzył się Rząd Narodowy z ludzi o różnym pokroju i zabarwieniu politycznem. Obok bowiem ks. Czartoryskiego, Teofila Morawskiego, Wincentego Niemojowskiego, widzimy Joachima Lelewela i Stanisława Borzykowskiego. Jeden Sejm pracował gorliwie, zebrany pod laską Władysława Ostrowskiego, obierający na miejsce gen. Chłopickiego dyktatorem ks. Michała Radziwiła, któremu również brakło zdolności do spełnienia włożonego nań zadania. Sejm zdetronizował Mikołaja I dnia 25 stycznia 1831 r.



Ppor. Piotr Wysocki.

Spojrzyjmy teraz na jaśniejsze chwile powstania. Do zwycięstwa oręża polskiego w przeszłości przybyła spora wiązka nowych. Świeżo zaciężni rekruci szli w zawody o lepsze z posiwiałymi w boju wiarusami doby napoleońskiej. Jeden szedł na pięciu i zwyciężał, bo przyświecała mu idea, że walczy za ojczyznę skutą w kajdany, za braci uciemiężonych.

Najświetniejszym czynem żołnierza polskiego z czasów powstania listopadowego — to zażarty, wściekły bój pod Grochowem. Wojskami rosyjskiemi dowodził gen. Dybicz-Zabałkański, tylokrotny zwycięsca Turków w czasie wojny Ro-

sji z Turcją 1828 r., Moskale byli tak silni i tak dzielnie uderzali, że każdy przeciwnik byłby pobity, tylko nie Polacy.

Dziesięciokrotnie zdobywali Moskale Olszynkę, najważniejszy punkt na całym obszarze bitwy, ale znowu go tracili, bo Olszynki bronił legendowy pułk czwarty. Już Rosjanie zaczęli podawać tyły, gdy wtem na pomoc przyszedł im drugi korpus gen. Szachowskiego. Walka zawrzała na całej linji. Gen. Chłopicki kierujący czynnościami wojennemi pod Grochowem, który nawiasem mówiąc pragnął tylko bój stoczyć, aby lec z chwałą, ale nie marzył o zwycięstwie, widząc przemagające siły nieprzyjaciela, na czele pułków grenadjerskich uderza na Moskali.

Po stronie rosyjskiej samej jazdy walczyło 13-cie tysięcy. W czasie bitwy został ranny i gen. Chłopicki Jedynie dzięki męstwu i niesłychanej brawurze ułanów polskich pod pułk. Kickim, udało się odeprzeć wroga. Świetny, ale i nie pierwszy, był to bój dla oręża polskiego, ale zarazem straszny. Padło 9.000 żołnierzy polskich; ciężko rannych było 5.000. Rosjanie stracili około 30.000.

Po bitwie pod Grochowem, przełamawszy szyki nieprzyjacielskie, wyruszył gen. Dwernicki w Lubelskie. Bije Moskali pod Nową Wsią, Kurowem, Markuszowem. Generałowie Skrzynecki z Rybińskim znoszą korpus moskiewski pod Wawrem, Wielkim Dębem.

Wszędzie żołnierz polski walczył jak lew. Szedł śmiało naprzód na nic nie zważając. Prosty szeregowiec chłop Walenty Kucharski bierze do niewoli moskiewskiego generała Lewandowskiego. Ostatniem wielkiem zwycięstwem Polaków to bitwa pod Iganiami dnia 10 kwietnia 1831 r. Do boju prowadził z polskiej strony wyżej już wzmiankowany gen. Prądzyński. W bitwie tej po stronie rosyjskiej brali udział strzelcy, nazwani „lwami warneńskiemi“, bo w wojnie tureckiej 1828 r. pierwsi weszli do Warny,, miasta na Bałkanie słynnego stąd, że tam zginął król polski Władysław Warneńczyk w 1444 r. Strzelcy owi, nie doświadczywszy męstwa Polaków, śmiali się głośno, gdy jakiś pułk moskiewski cofał się przed nacierającymi Polakami. Duma ich jednak wnet upokorzoną była, bo gdy dwa pułki lwów warneńskich uderzyło na Polaków, ci choć o połowę byli słabsi, śmiało z bagnetem w ręku wykonali atak. Większa część tych lwów legła pod bagnetem, inni w ucieczce szukali ratunku.

Zwycięstwo to jednak kończy jakby chlubną kartę powstania i stanowi zwrot w historji jego. Szczęście, sprzyjające dotąd orężowi polskiemu, odwróciło się. Tyle było najpiękniejszych okazyj pobicia i wyparcia wroga, ale zwlekano zawsze i marnowano zapał wojska. Jak za dyktatury gen. Chłopickiego zwracano ciągle zwrok w stronę Petersburga, zamiast ścigać wroga, tak znowu następca jego po krótkiem naczelnodowództwie ks. Radziwiłła, gen. Skrzynecki rozwinął obfitą korespondencję do mężów stanu angielskich, francuskich, austryjackich, pruskich.

Ciągle oglądano się na mocarstwa zachodnie, kiedy te same były zajęte i poróżnione między sobą kwestją belgijską, kiedy we Francji monarchja lipcowa nieugruntowana jeszcze i słaba oglądała się trwożliwie na gabinety europejskie i gotowa była pokój okupić wszelkiemi ofiarami, kiedy zamieszki włoskie zwróciły uwagę dworu wiedeńskiego na południe i dostarczyły ostrożnemu, a w gruncie obojętnemu dla Polski kanclerzowi Metternichowi, pożądanych argumentów na zachowanie jaknajściślejszej i przeciw Polsce zwróconej neutralności, kiedy wreszcie Prusy, obawiając się o swe wschodnie prowincje, zagrabione Polsce, zgromadziły dwa korpusy, aby w razie zwycięstwa polskiego rzucić je na Polaków i ratować Moskwę. Chwycono się dyplomacji, ale i brak nam było wówczas dyplomatów obeznanych ze swojem rzemiosłem, posiadających nietylko zdolności, ale doświadczenie i rutynę, dyplomatów rozumiejących się na subtelnościach i dwujęzyczności gabinetowej, dyplomatów, umiejących odpowiednio odwołać się do poczucia sprawiedliwości, umiejących przemówić do sumienia narodów, zaapelować do uczuć szlachetnych, kołatać do serc.



W. ks. Konstanty Pawłowicz.

Błędem również było kierowników powstania, że nie przenieśli wojny na inne obszary dawnej Rzeczypospolitej. Gdyby powstanie objęło całą Ruś i Litwę, przecięło związek między rosyjską armją na północy i południu, a mając siły skupione choć szczupłe rozgromiono nieprzyjaciela, to tem zaczepnem działaniem zrównoważyć by można było niekorzystny dla siebie stosunek sił i teatr wojny odrazu przenieść poza granice Królestwa Kongresowego.

Ale do osiągnięcia tego trzeba było mieć cel wytknięty. Wybuchło wprawdzie powstanie na Żmudzi dnia 25 marca 1831 r. Powstała Litwa. W okolicach Dźwińska Cezary hr. Plater i krewna jego Emilja Platerówna dali hasło do powstania. Powstali także Polacy na Podolu i Ukrainie, dokąd wysłano gen. Dwernickiego, który przez Radziwiłów, Poczajów, Kołodno zbliżył się o jeden dzień drogi do Kamieńca Podolskiego, ale osaczony ze wszystkich stron przez przeważające siły i przyciśnięty do granicy, musiał Dwernicki dnia 27 kwietnia wkroczyć do Galicji, gdzie rozbrojono cały oddział, składający się z 4.100 ludzi.

Wybuchy jednak powstania na tych obszarach były nieregularne. Błędy te wodzów naczelnych przyśpieszyły katastrofę. Popełniono błąd, przyjmując dnia 26 maja, w miejscu niekorzystnem, bitwę pod Ostrołęką, która skończyła się klęską dla naszych. Padło tam około 8.000 wojska polskiego.

Szybkim krokiem zbliżał się upadek Warszawy, której kapitulacja nastąpiła dnia 8 września. Ale i po upadku Warszawy położenie Polaków nie było jeszcze rozpaczliwe. W naszych rękach pozostały twierdze Modlin i Zamość, zaopatrzone w liczne działa i amunicję. Lecz naczelnej komendzie brakło już mocnej wiary, któraby tchnęła w wojsko zapał do dalszej walki. Niezgoda między generałami i nieposłuszeństwo zrobiły resztę. Gen. Ramorino przeszedł z 20.000 wojska granicę galicyjską pod Borowem i poddał się Austrji. Uczy-

nił tak i Rybiński i dnia 5 października weszła armja polska koło Szulcowa do Prus i stanęła obozem pod Brodnicą gdzie ją rozbrojono. Z armji liczącej 60.000 ludzi jeden tylko pułk. Stryjeński zdał się z oddziałem na łaskę carską. Reszta przeniosła tułactwo nad hańbę.

Upadło powstanie mające wszelkie warunki wygranej. Autorowie obcy, jak niemiecki generał Willisen i rosyjski Dawydow, badający przebieg powstania, oraz historjograf rosyjski Puzyrewskij stwierdzają, że dowódcy powstania przyczynili się do tego by je zgubić.

Odetchnął Mikołaj I. Skończyło się dlań 10 miesięcy nieustającej męki. Były chwile, gdy rewolucja mimo niedołęstwa wodzów dochodziła do tak groźnej mocy, że car, lekceważący z początku powstanie, powątpiewał o możliwości zwycięstwa. W maju 1831 r. nakreślił Mikołaj I formalny plan zrzeczenia się Kongresówki na lewym brzegu Wisły na rzecz Prus i Austrji wzamian za inne kompensaty.



Emilja Platerówna.

Bohaterski poryw szlachetnej młodzieży nie zdołał tchnąć wiary w serca, bijące wprawdzie żywo dla ojczyzny, lecz wyziębione klęskami i zawodami lat ubiegłych. Nie w działaniu wojennem jak widzieliśmy, ale w dyplomacji i w układach pokładano od początku całą nadzieję. Wszedłszy na drogę mylną i zgubną marnowano lekkomyślnie zapał i poświęcenie narodu, zaniedbywano korzyści, które same się nastręczały, oszczędzano niemal nieprzyjaciela, choćby wspomnieć plan ataku na gwardje rosyjskie, rozłożone w Łomżyńskiem, opracowany przez gen. Prądzyńskiego, a nie doprowadzony do skutku dzięki Skrzyneckiemu, który nie chciał dać sygnału do ataku, bo bał się rozbić i zdziesiątkować gwardję, rekrutowaną z doborowej młodzieży rosyjskiej. Lękał się rozdrażnienia strony przeciwnej, bo układy byłyby wtedy niemożliwe.

Odwołanie się do słowiańskości żołnierza rosyjskiego, hasło idziemy walczyć „za naszą i waszą wolność" było stanowczo zawczesne. Żołnierz rosyjski wzięty do niewoli dawał się prowadzić chłopcom zbrojnym w kije, był z losu swego zupełnie zadowolony, o ucieczce nie myślał, nienawiści do Polaków nie znał, ale postawiony w szeregu i upojony wódką stawał się krwiożerczym barbarzyńcą. Prąd szedł z góry, gdzie wiedziano dobrze, że niepodległa Polska może stać się grobem dla carskiego despotyzmu.

Nie udało się powstanie. Nie wybiła dla nas wtedy jeszcze godzina zmartwychwstania. Ruch był przedwczesny, naród nieprzygotowany dostatecznie. Uczestnicy powstania musieli opuścić kraj. Jedni poszli na Zachód i wytworzyli tam wielką emigrację. Innych przemoc zwycięzcy wygnała na Wschód, na mroźny Sybir. Wszyscy oni do końca życia marzyli o niepodległej, wolnej Polsce.

Upadło powstanie, ale nie upadł duch narodu. Krew ofiarna tysięcy bohaterów, którzy złożyli życie swe i mienie na ołtarzu ojczyzny wraz z krwią powstańców 1863 r. stanowiła fundament, na którym w oczach naszych wyrosła zmartwychwstała Polska, by odtąd żyć na wieki.

Ks. Piotr Sąsiadek.

ROK 1831 W POEZJI

Powstanie listopadowe było jednem z ogniw wielkiego cyklu walki o niepodległość naszą, która trwała od czasów konfederatów barskich, aż po r. 1920.

Wybuch jego nie był tylko dziełem szczęśliwego momentu, lecz wyrazem całej atmosfery, w której żyło społeczeństwo polskie w Królestwie Kongresowem, zgnębione i przybite po zawiedzionych nadziejach epopei napoleońskiej.

Duch żołnierski tej epopei długo był natchnieniem dla poezji, która jak słynny mazurek Dąbrowskiego rodziła się wprost w rozgwarze wojennego życia, lub snuła wspomnienia w strofach Cyprjana Godebskiego, poświęconych czynowi zbrojnemu pierwszych polskich legjonów.

Tak różnym losem wszędy miotani Polacy,
Ci, rzucając brzeg Padu, ci ojczyste gniazdo,
Gromadzą się raz jeszcze pod łudzącą gwiazdą,
I, gdzie Ren licznych krain użyźnia płaszczyzny,
Idą szukać gościńca do swojej ojczyzny.

Potem rozbłyśnie legenda Napoleońska na kartach „Pana Tadeusza", tworzonego już po upadku powstania listopadowego.

Z perspektywy klęski, którą poniósł naród w r. 1831, tym barwniej, żywiej, bogaciej przedstawiać się będzie dla patrjotów tradycja epoki napoleońskiej.

Nic dziwnego, że oczarowała ona Mickiewicza i podyktowała mu jedne z najpiękniejszych strof jego poematu.

Porwało go piękno wojny, która szeroką, szumną falą przepłynęła przez Polskę, niosąc zapowiedź zmian.

...Dziwne stroje, niewidziane bronie!
Pułk za pułkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi,
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.
Wszyscy na północ! Rzekłbyś, że wończas z wyraju,
Za ptactwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony instynktową niepojętą mocą.
Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą
Płyną. Na niebie gorą tu i owdzie łuny,
Ziemia drży, słychać, biją stronami pioruny.

Nic dziwnego, że ta rycerska a niedawna przeszłość




Na moście w Łazienkach. NOC LISTOPADOWA. *Atak na Belweder.*

musiała się wydawać ponętną dla żyjących w atmosferze coraz bardziej zaciskającej się obręczy prześladowań ze strony rządu carskiego.

Początkowo, bezpośrednio po kongresie wiedeńskim polityka rosyjska w stosunki do Polaków, uprawiana przez „dobrotliwego" monarchę cara Aleksandra I, miała rzeczywiście charakter pojednawczy i przychylny.

Car miodopłynnemi usty dawał wszelkie obietnice, które jednak nie miały być nigdy wypełnione. Rychło też poznali się na tem Polacy. To też widząc obłudną grę polityki carskiej, chwycili się jedynego środka niewolnych — spisku, aby w podziemiach przygotować czyn zbrojny i wyzwoleńczy.

Do spisków patrjotycznych wciągnięci zostali przedewszystkiem wojskowi, a również i młodzież.

Ciężką atmosferę owych czasów odtwarza dosadnie Mickiewicz w przedmowie do III-ej części „Dziadów".

Około r. 1822 polityka imperatora Aleksandra, nienawidząca wszelkiej wolności, zaczęła się wyjaśniać, gruntować i przeciwny brać kierunek. Wtenczas podniesiono na cały ród polski prześladowania powszechne... Wystąpił na scenę pamiętny w naszych dziejach senator Nowosilcow... Wtenczas całą przestrzeń ziemi od Prosny aż do Dniepru i od Galicji do Bałtyckiego morza zamknięto i urządzono jako ogromne więzienie. Całą administrację nakręcono jako jedną wielką Polaków torturę, której koło obracali carewicz Konstanty i senator Nowosilcow.

Aresztowanie Łukasińskiego, aresztowania młodzieży w Wilnie musiały tylko dolać oliwy do ognia i rozżarzyć płomień nienawiści względem ciemiężcy — nienawiści, nieliczącej się już z żadnemi skrupułami moralnemi i religijnemi.

Odtwarza to doskonale utwór Seweryna Goszczyńskiego z r. 1824 p. t. „Modlitwa wolnego".

Wielkie gody, straszne gody!
Śpieszcie, sieroty swobody!
Zemsta wzywa nas na gody,
W zemście nasze dziś nadzieje,
Zemsta dziś bożyszcze nasze...

Te hasła zemsty, choćby wbrew woli Boga, rozpowszechniali spiskowcy należący do tajnych organizacyj wolnomularskich, lub do martynistów, którzy pokrywali swe idee płaszczykiem patrjotyzmu.

Całe społeczeństwo było zdynamizowane. Nurtowało w niem głęboko niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy. Coraz trudniej było oddychać piersiom polskim pod ciężkim gniotem carskich siepaczy.

Nic dziwnego, że w podziemiach poczyna dojrzewać myśi buntu, ogarniająca przedewszystkiem młodzież. Tworzą się różne ogniska spiskowe. Jednym z wodzów spisku jest Wysocki, młody pporucznik.

Niewątpliwie postać Wysockiego stanowi wdzięczny wątek dla poetów. Nic dziwnego zatem, że znajdujemy ją w różnych wcieleniach literackich w szeregu utworów, że wspomnimy „Noc listopadową".

Czyn podchorążych stanowi moment rozstrzygający w napiętej atmosferze życia polskiego na przełomie roku 1830-31.

Wokół tego czynu rozsnuwa się poezja czarowną aurą legendy. Zwłaszcza Słowacki i Wyspiański szukają motywów do swych dzieł w epoce powstania listopadowego. W „Kordjanie" znajdujemy przejmujący opis stanu kraju w przeddzień powstania.

...I nie stało kiru
Na szatę matki naszej, więc w troje pocięto,
A dziś — zapytaj mewy, lecącej z Sybiru,
Ilu w kopalniach jęczy? a ilu wyrżnięto?
A ilu przedzierżgnięto w zdrajców i skalano?
A wszystkich nas łańcuchem z trupy powiązano,
Bo ta ziemia jest trupem. Brat się wściekł carowi,
Więc go rzucił na Polskę, niech pianą zaraża!
Zębem wściekłym rozrywa!

Niestety nadzieje, jakie przywiązywano do powstania zbrojnego zawiodły. Wola narodu napięta do czynu nie umiała się wypowiedzieć zgodnie i władczo. Wielką ideę walki o wolność rozdarto na strzępy w jazgocie swarów partyjnych, wśród rywalizacji osobistych, partykularnych ambicyj.

Naród był jak piasek niespojony cementem silnej woli wodza. Porywał się pod chwilowem tchnieniem entuzjazmu, wiał ostro w ślepia wroga, lecz wraz opadł, jakby niepewny swej mocy i celu zmagań. Zabrakło mu świadomej woli kierowników.

Słowacki w „Kordjanie" dosadnie odmalował głównych bohaterów listopadowego powstania. W chacie Twardowskiego szatan „stwarza narodowi dygnitarzy, aby nimi zapychał każdą dziurę rządu". Dygnitarzy niezdolnych podjąć brzemię „dnia ogromnego".

Słowacki poddał bardzo surowej krytyce głównych bohaterów powstania, a niefortunnych sprawców jego klęski.



Na placu Zamkowym.



Przed Arsenałem.

NOC LISTOPADOWA.

Jeden Czartoryski z twarzą rzymianina strojny „na pośmiewisko w sprzeczne z naturą nazwisko" (od czarta) — został oszczędzony z pod tak surowej chłosty ironji i satyry genjalnego poety.

Również osądem surowym powstania jest „Warszawianka" St. Wyspiańskiego.

Niewątpliwie natchnieniem była dla Wyspiańkiego pieśń Kazimierza Delavigne, który przejęty entuzjazmem dla wolnościowego wysiłku Polski, napisał swą „La Varsovienne".

Pieśń tę przetłumaczył literat gwardzista-ochotnik, Kazimierz Karol Sienkiewicz. Muzykę dorobił Karol Kurpiński.

Trzecia zwrotka tej pieśni brzmi porywająco:

Droga Polsko! dzieci twoje
Dziś szczęśliwszych doszły chwil,
Od tych sławnych, gdy ich boje
Wieńczył Kremlin, Tybr i Nil.
Lat dwadzieśnia nasze męże
Los po obcych grobach siał,
Dziś, o Matko, kto polęże,
Na twym łonie będziesz spał.
Hej, kto Polak na bagnety
Żyj swobodo, Polsko żyj!
Takiem hasłem cnej podniety
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Nieszczęściem powstania listopadowego było, że nie miało ono wodza. Jedyny godny tej roli Chłopicki, hamowany ambicją i osaczony niechęcią pewnych osób i kół, co się wyraziło w słynnem zajściu z posłem Ledóchowskim, nie mógł spełnić zadania. Podjął je zapóźno, pod naciskiem konieczności, bez wiary w zwycięstwo, bez wiary w swych współpracowników, niezdolnych mu dopomóc do dzieła zwycięstwa.

To też Wyspiański wypowiada w „Warszawiance" gromkie oskarżenie tych, co szafują lekkomyślnie krwią ludu bez pewności zwycięstwa, bez wiary. że przelana krew przeważy szalę przeznaczeń narodu na lepsze. I mianuje to zbrodnią.

Oburzenie poety pod adresem Chłopickiego wypowiada Marja; pełna przeczuć klęski niby Kassandra:

Wierzysz mej trwodze! Ty, ty byłeś nasz lew?
Znaj, czyją zbrodnia winą.
Znaj, czyim głosem wołam!
Lament mną szarpie i targa
Bólem przeczuć, lęków grozą.
Piorunie! o mą pierś twe groty skrusz i połam!
Ja wam wróżka, wydarzenia znaczę,
Jako jeszcze dziś spełnić się mają.
Byłam wolna,
Buntowna przemocy:
Oto mię w kajdany zakuto!
Byłam panią — oto mam być sługą,
Bom dłoń wzniosła,
Skowaną dłoń nieudolną —
Zagojone mi rany rozpruto.
Otom w niemocy,
Żelazną spowita kolczugą.

W Marji obok tego bólu Kassandry, widzącej w przeczuciach klęskę narodu, tkwi jeszcze rozpacz nawskroś osobista. Gdy żegnała swego narzeczonego, rzuciła mu tylko jedno słowo: „Odznacz się!" — oczywiście w walce dla Ojczyzny, wróć bohaterem i zwycięzcą! To też śpiewa wraz z gośćmi, pełna entuzjazmu: „Hej, kto Polak na bagnety!" — gotowa, zdawałoby się, na wszelkie ofiary dla ojczyzny. Lecz ukochany, co szedł, by „w nieśmiertelności po wieki zasłynąć", zginął — i w sercu Marji dokonywuje się głęboka przemiana. Porywa ją w swe szpony rozpacz; oślepła od bólu i ogłuszona ciosem, który ją dotknął — zapomina o Polsce, nieomal odczuwa do niej nienawiść; woła więc za odjeżdżającymi ułanami:

Zginiecie!
Tam się krwią narodu
Ubroczy całe pole; krwią się błonie zrosi.
Patrz jadą na mogiły.
Krzyże tam będą tkwiły!

Lecz poeta nie mógł ze swem sumieniem pogodzić tego akordu pesymizmu.

To też powraca raz jeszcze do problemu powstania listopadowego w „Nocy listopadowej".

I tu w. księciu Konstantemu, temu wrogowi Polski, temu, któremu Słowacki Polskę kazał „wściekłym zębem rozrywać" — każe Wyspiański wypowiedzieć ważkie słowo: „Ja w Polskę wierzę!"

Wielki książe powiada do gen. Krasińskiego, który pozostał wierny carowi.

— Ja jasno widzę. Ja upadłem...
Tam pożar wre! Powstanie! Szał! Wszyscy orężni!
A wy, czemu wy tu? Tak ja się o was boję
Błyskawice wstrzymali w pędzie i potężni!
Wy trupy — jeśli ze mną związani w przymierze
Wy nie wierzycie w Polskę — a co? A ja w nią wierzę!

Oślepiony, odarty, nędzny Łukasiński zostaje wy-

prowadzony z lochu i szepce modlitwę, pełną prorockich wizyj:

O, przyjdziesz ty kiedyś,
Mój duchu, na gody
Za każdą twą, żywota gorycz!
W tych dzwonach z Warszawy
Do ciebie to gońce!...
Witaj jutrzenko swobody
Za tobą zbawienia słońce.

Niestety dzieło powstania załamało się. Z krwi przelanej — nie wyrosła nam w one dni wolność Lecz krew ta, choć szczodrze i nad miarę rozlewana — nie zmarnowała się.

Przez usta Kory powiada poeta:

Przejdziecie jeszcze nie jedną nędzę
I niejedną przebolicie próbę.
Za czas znów wrócę — i jeszcze razy wiele
Przyjdę. — Wiosna — z gwiazdą na czele
I żywot dam — tlejący w zgliszcz popiele.
A dzisiaj kres! — Krwi przelanej nie zmarnię
Krwią pola a rolę użyźnię
I synów z krwi tej dam — kiedyś — Ojczyźnie!

Jakkolwiek bowiem powstanie było ostatecznie przegrane, to jednak rozbłysł w czasie jego trwania niejeden bohaterski czyn, uwieńczony potem przez poezję.

Dziś jeszcze śpiewa żołnierska młódź „Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę“ — pieśń opiewająca wojenne czyny sławnych czwartaków, tych czwartaków o których Anna w „Warszawiance“ mówi z takim entuzjazmem, pieśń — ułożona przez obcych w Niemczech.

Pieśń głosi:

Wiadoma światu ta sławna Olszyna,
Gdzie nieprzyjaciel twardym murem stał,
Paszcz tysiące zieje, rzeź się krwawa wszczyna ..

A dalej:

Pod Ostrołęką wróg się dumnie zrywa,
Otacza wolnych dzikiej hordy wał,
Śmierć albo życie, tu wyboru niema
Z bagnetem w rękk niepadł ani strzał; .
I już dla naszych odwrót jest otwarty;
I któż to zdziałał? a był to pułk czwarty!

Z mniej znanych pieśni, tworzonych w wirze i rozgwarze gorącej atmosfery powstaniowej, wspomnieć jeszcze należy, nieznanego autora:

Polska powstaje, dzwon wolności brzmi,
Dumny despota na swym tronie drży...

Ludowa poezja podchwytuje szybko każdy ważniejszy moment z przebiegu powstania i upamiętnia go w strofach:

Grzmią pod stoczkiem armaty
Błyszczą białe rabaty,
A Dwernicki na przedzie
Na Moskalu sam jedzie.

Potem piosenka opowiada, jak to krakusi powiedziawszy sobie:

Chodźwa trzepać Moskala,
Niech nam Polski nie kala...

w brawurowym ataku na kosy zdobyli armaty na wrogu.

Z nastrojów patrjotycznych powstało też słynne:

Patrz Kościuszko na nas z nieba“...

Pieśń stworzona na rzecz dyktatora Chłopickiego.

Obok tych nastrojów dramatycznych rodziła się piosenka swobodniejsza, sentymentalna, jakgdyby na marginesie wielkich spraw życia narodu:

Popularność zyskało:

Tam na błoniu błyszczy kwiecie,
Stoi ułan na widecie,
A dziewczyna jak malina
Niesie koszyk róż.

Ułan chce wytargować od dziewczyny całusa. Ta się wzdraga i obiecuje dać go po zwycięskiej wojnie. Na to ułan:

„A jak zginę,co tak snadnie!
To buziaczek mi przepadnie. .

Odpowiada dziewczyna:

Wierna tobie na tym grobie
Pocałuję krzyż!

Autorem tej piosenki jest Fr. Kowalski, wychowaniec Liceum Krzemienieckiego.

Wspomnijmy tu wreszcie choćby słynną „Redutę Ordona“, upamiętnioną w strofach Mickiewicza.

Szereg bitew jak pod Ostrołęką, gdzie Bem sprawiał się jak „archanioł artylerji“ — znalazło swą chwałę w poetyckich strofach.

Poezja splotła nad głową umęczonego narodu wieniec laurowy wiecznej pamięci i przechowała w nim przecudny kwiat nieśmiertelności ducha narodowego, który rozkwitł ponownie w naszych czasach.

J. Czarnecki.





Atak na więzienie na Lesznie. NOC LISTOPADOWA. *Na ulicy Miodowej i Kapitulnej.*

WYBUCH POWSTANIA 1830 r. W LUBLINIE

(Według pamiętnika powstańca Seweryna Liniewskiego)

W rocznicę powstania, będącego świadectwem dążenia do niepodległości, dajemy poniżej fragment z pamiętników weterana bojów w 1830-31 r. i w 1863 r., drukując po raz pierwszy bez zmian i skrótów, z rękopisu, opis wydarzeń pierwszych dni powstania, tem nawet ciekawszy, że mowa jest nie o znanych ogólnie wypadkach w Warszawie, lecz o początku walk i nastrojach prowincji.

Pamiętniki Seweryna Liniewskiego, obejmujące lata 1814-1890 r., winny być wydane książkowo; fragmenty b. streszczone drukowano przed kilkunastu laty w czasopismach; tutaj podajemy całość po raz pierwszy wprost ze źródła: z rękopisu. Życiorys autora tych wspomnień jest obrazem życia patrjotyziemianina.

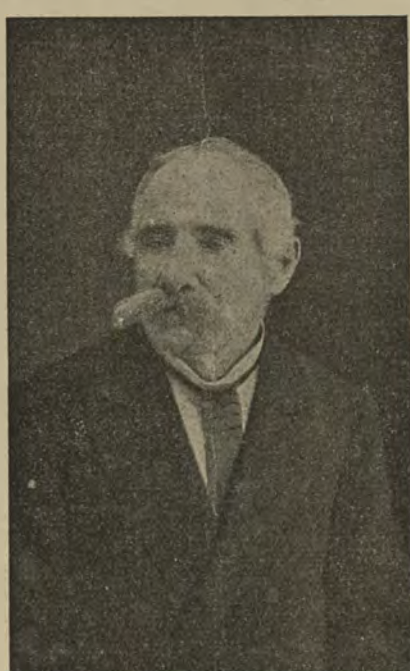
Ród Liniewskich jest żywym pomnikiem unji szlachty wołyńskiej z Matką Polską. Wieś Liniewo, pod Łuckiem, była kolebką mężów, życiem swym świadczących o szlachetnem po wieczność złączeniu się krwią i myślą szczepów kresowych rumuńskich i lechickich, tworzących najpiękniejszy typ rasowy. Spokrewnieni z Potockiemi, Jabłonowskiemi, Lubomirskiemi, bojarowie Liniewscy, dali ze swej wołyńskiej ziemi dla Ojczyzny Polski, w XVII wieku, walecznego regimentarza Jana Liniewskiego, poległego pod Cudnowem, Marcina, marszałka związku wojskowego, potem Michała, kasztelana wołyńskiego; w 1831 r., trzech Liniewskich było w szeregach powstańczych, i jeden z nich, Tomasz, poległ pod Grochowem.

Autor pamiętników, Seweryn Liniewski, syn Józefa, łowczyca krasnostawskiego, urodził się w 1814 r. w Warszawie; pierwsze nauki pobierał w domu swych krewnych Gembarzewskich w Czesławicach, potem w gimnazjum w Lublinie; był następnie w urzędzie wojewódzkim aplikantem wydziału skarbowego; później, przeszło pół wieku, gospodarował we wsi dziedzicznej Lejnie w powiecie włodawskim; był członkiem Tow. Rolniczego, pełnił obowiązki sędziego; ożeniwszy się z Józefą Bohdanowiczówną, przeżył małoletnio zmarłych synów; zgasł 13 kwietnia 1892 r.

Seweryn Liniewski, weteran 1831 i 863 r., skarbiec pamiątek rodziny pomnożył między innemi tym wymownym dokumentem: — „Woysko Polskie. Pułk 9 Ułanów. Świadectwo. Zaświadcza niniejszym Seweryna Liniewskiego, podoficera wyżej wymienionego pułku, jako był od początku w pułku przytomnym i we wszystkich bitwach znaydował się. Chwałowice 16 września 1831 rok. (—) Dowódca pułku Mrozowski".

Rękopis pamiętnika jest obecnie w posiadaniu córki autora, p. Jadwigi Liniewskiej. Fragment niestreszczony, tyczący się początków powstania listopadowego brzmi następująco:

„Z początkiem roku szkolnego 1830/31, wszedłem do szkół, jako uczeń drugoletni klasy VI-ej, czyli maturus; zmieniłem stancję; stanąłem na kondycji u pułkownika Czarneckiego, do towarzystwa i wykładu łaciny i matematyki dwum jego synom Janowi z klasy III i Aleksandrowi z klasy IV. Staliśmy przy ulicy namiestnika. Pułkownik Czarnecki, stary żołnierz, utracił nogę w kampanji francuskiej z Rosją; w on czas był także właścicielem części Sobieszczan, gdzie pomimo braku nogi często jeździł konno o trzy mile od Lublina. Trzy miesiące nauki, to jest wrzesień, październik i listopad 1830 roku w ciągłej i mozolnej pracy spędziłem, bo należało się uczyć, aby patent otrzymać, a przytem pracować jeszcze nad uczniami. Tak czas zszedł do 29 listopada 1830 roku.



Seweryn Liniewski.

Dnia 30 listopada, w klasie wykładał Ostrowski o dwumianie Newtona; zapisał kilka razy tablicę: słowem, zabił klina w głowę. Wracam do domu z klasy — zastaję pułkownikową zapłakaną. Pytam: „Co pani?" — „Ach, wielkie nieszczęście stało się w nocy 29 listopada. W Warszawie wybuchła rewolucja. Ja mam syna w szkole Aplikacyjnej. Może się zaplątał. Z tego może być dla mnie wielkie nieszczęście. Ale nie powtarzaj tego, panie Sewerynie, bo to tylko wieść; może nieprawda".

Idziemy po południu do klas, a już i koleżki bąkają, ale głucho o rewolucji. W młode serca wstępuje radość. Wypadki się rozwijają. Lublin zaczyna się ruszać. Przychodzi urzędowa wiadomość, z którą przyjechał z Warszawy akademik Koźmian, dawny uczeń lubelski. Z jego przyjazdem Lublin zajaśniał taką iluminacją, jak nigdy. Kokardy białe zabłysły na wszystkich czapkach. Kupiec bławatny Matuszkiewicz pokrajał kilka sztuk jakiegoś materjału białego; jego szwaczki każdemu, kto tylko się zgłosił, kokardy przypinały.

Orły rosyjskie z biur poleciały na ziemię, — słowem radość opanowała naród. Młodzież chodziła do szkół, ale o nauce ani myśli. Ja uczniów swoich wodzę do klasy, ale myślą jestem gdzieindziej.

Wojsko się porusza. Pułki, stojące w Lublinie, to jest pułk 3, 1, 7 liniowe wychodzą do Warszawy; 2 i 4-ty strzelecki przybywają z Zamościa i także idą do Warszawy. Dywizja ułanów, której sztab stał w Lublinie pod wodzą Weyssenhoffa, wychodzi do Warszawy.

Miasto ogołocone z wojska, więc dla bezpieczeństwa formuje się Gwardja Narodowa, do której zaciągają się obywatele miasta, urzędnicy, studenci. Kiedy po raz pierwszy Gwardja zaciągała na odwach, sam prezes wojewódzki Lubowiecki z karabinem chodził na głównym odwachu, który znajdował się tam, gdzie dzisiaj magistrat.

Odbywała się manifestacja poświęcenia Czapki Wolności. Niesiono ogromną czapkę amarantową przez całe Krakowskie Przedmieście. Gdzie ją poświęcono — nie pamiętam; potem była odniesioną do szkół lubelskich.

Stawaliśmy, jako gwardja, na wartach i pamiętam, że byłem na warcie na głównym odwachu; stałem godzinę, jako szyldwach, I-o w pałacu Komisji Wojewódz-

kiej, II-o na poczcie, która była na Krakowskiem Przedmiesciu. W czasie mej warty na poczcie przywieziono aresztowanego generała Hurtiga, komendanta Zamościa. III-o, stałem na warcie przy kasie Towarzystwa Kredytowego, które było w Rynku, obok bramy Rybnej, dziś rozebranej; a że to było w nocy, więc staliśmy we dwóch — z Zenonem Popielem; ja stałem od Rynku, a on od ulicy Rybnej. IV-o byłem na warcie przy Trybunale.

Gdy stałem przy pałacu Komisji Wojewódzkiej, przechodził pułk 4-ty strzelców pieszych do Warszawy z Zamościa. Również, kiedy stałem wieczorem w tymże gmachu, zszedł się tłum ludzi przed pałac, wywołał na balkon Lubowieckiego, nahałasował się, naśpiewał i spokojnie się rozszedł. Lubowiecki nie był dobrze widziany przez naród, więc był w strachu, i kiedy tłum nadchodził, wołał z góry kilka razy: „Szyldwach! jesteś tam?“ — Był to krzyk trwogi, bo szyldwach jeden, szesnastoletni, nicby mu nie pomógł; ale za to, żem wytrwał na stanowisku, zostałem uczęstowany herbatą, zresztą na swojem miejscu. Stałem w prawym pawilonie przy kasie, to jest od zachodu; tłum do mnie się zbliżał, ale o zadnym wybryku nie myślał.

Zaczął wychodzić „Kurjer Lubelski“ z nowym rokiem 1831-m. Umieszczano w nim rozmaite spiewy, wiadmości publiczne. Zaczęły się formować nowe pułki: pułk 15, 16 piechoty; kawalerji pułk jeden, późniejszy pułk 10 ułanów. Do tych pułków cała starsza młodziez szkolna wstąpiła, tak, że w styczniu 1831 r., pułk jazdy lubelskiej już wyruszył do Warszawy; pułk ten był formowany z ochotników i z ludzi dostarczanych przez mieszkańców: z każdych jedenastu dymów jednego jeźdźca z koniem i całem umundurowaniem.

Ja jeszcze ciągle chodziłem w mundurze studenckim, bo ucierałem się z rodzicami, którzy, dla młodości, nie chcieli mi pozwolić wstąpić do wojska — miałem dopiero rok siedemnasty. Uparłem się i oświadczyłem, że jeśli mi nie pozwolą, to z Lublina ucieknę i gdzieindziej wstąpię.

Wiedząc, że ani ich wola, ani uwagi osób przez nich nasadzonych, nie pomagają, nareszcie zezwolili.

W drugiej połowie stycznia, zaczęto formować drugi puk kawalerji lubelskiej. Poszedłem więc z ojcem do komenderującego formacją Kazimierza Oborskiego; zemną też poszedł Józef Niezabitowski. Niezabitowskiego Oborski nie przyjął, dla małego wzrostu, ja zostałem przyjęty, jako podoficer drugiego pułku krakusów lubelskich, imienia Wolnego Orła Białego

Umundurowano mnie: czamarka granatowa, z guzikami węgierskiemi, wypustkami amarantowemi; stosowne spodnie; czapka amarantowa w kształcie ułańskiej, przy niej pióro białe z amarantowem, a na przodzie blacha z napisem: „Walczy Orzeł Biały“. Ładownicy nie było, lecz na czamarce z przodu stosowne naszycie na ładunki; szabla; pistolety dwa francuskie, długie, kupił ojciec, i tak wystrojonego zaprowadził mnie do Oborskiego. Wszystko było dobrze, tylko zmonitował podszycie u czamarki kożuchem, ale to nawpół ze smiechem.

Tak zostałem z ucznia żołnierzem. Odtąd zaczynają się losy kampanijne.

Stałem ciągle u Czarneckich, a ojciec po umontowaniu mnie, pojechał do Lejna, do domu po konia. Ten pułk formował się z ochotników i reszty jeźdźców, których nie zdązono dostawić do pierwszego. Zacząłem chodzić na pierwszą naukę wojskową, było to już w końcu stycznia. Siostra moja była na pensji w klasztorze u Wizytek, które w on czas mieszkały na ulicy S-to Duskiej. Wystrojony po żołniersku, przy szabli i przy ostrogach, chciałem się przedstawić siostrze i jej koleżankom, które zawsze ciekawie oknami wyglądały. Z siostrą się zobaczyłem, w tak zwanej parlatorji Schodząc ze schodów, jako nieumiejący chodzić w ostrogach, zaczepiłem się na schodach i przysiadłem, a szabla oko mi podbiła; szczęściem,że to się działo pod dachem, bo byłyby mnie pewno wyśmiały.

Nauka szła dobrze. Uczono nas: to piechotą, to konno i w kilka dni umieliśmy już formować trójki, szóstki. — Po kilku dniach, ojciec konia przyprowadził; umontowali go, jak można najlepiej; koszt był znaczny, bo za kazdy szczegół płacić trzeba było nad wartość.

Posłuchy dochodziły, że wojska ruskie zbliżają się do granicy Królestwa. Były to pierwsze dni lutego Rozkaz był: — Bądź gotowym na każdą chwilę; — a że ojciec nie chciał się ze mną rozstać, więc stałem z nim razem w hotelu, wówczas zwanym „Salaryusza“, a dziś „Saskim“. Wprawiałem się do jazdy konnej. Raz siadałem na konia z kamiennego schodka, który jest przed drzwiami hotelowemi, a jakiś stary, przechodzący, widząc to rzekł: „Tak to gwardja krakusów siada na koń?“ — Wprawdzie nie miało to być bardzo zręcznie, bo lubo bywając ze szkół w domu, używałem na koniu, ale inna rzecz swobodnie siadać, jak się podoba, a inna rzecz przy uzbrojeniu i w charakterze ułana.

Kolegów ze szkół w pułku nie miałem, bo wszyscy weszli do pierwszego pułku. Nadszedł luty, spodziewaliśmy się lada chwila wymarszu...

podał Miłosz Gembarzewski.

B A Ł T Y K

Dumną falą spienioną, w pierś Polski uderza,
Świadom swego znaczenia, siły i potęgi.
Szumi, rzekłbyś kochanek kochance się zwierza,
Powtarzając jej szeptem tysiączne przysięgi...

Bez niego źle Jej było, bez niej on się smucił,
Wołał o pomstę nieba z krzyżackiej gardzieli;
Aż znowu do stóp lubej po latach powrócił,
I odtąd już na wieki nikt ich nie rozdzieli.

Bałtyku! Ciebie z Polską nasz wódz już zaślubił.
Masz tę, którąś od wieków tak szczerze polubił,
Ma ciebie ta, co długo za tobą tęskniła...

Wróg się myli, gdy sądzi, że was znów rozdzieli.
Gwałt zbudzi zbrojne hufce rycerzy-mścicieli,
Padnie hasło: Do boju! Żyj Ojczyzno miła...

J. MODRZEJEWSKI.



Bitwa pod Grochowem. *Współczesny sztych francuski.*

MŁODOŚĆ O. HIERONIMA KAJSIEWICZA

I JEGO UDZIAŁ W WOJNIE 1831 ROKU.

(Z niewydanych wspomnień jego siostry ś. p. Marji Moniki z Kajsiewiczów Zeithejmowej † 1881 [1])).

Ś. p. rodzice moi, Dominik Kajsiewicz i Anna z Pawłowskich na Świętej Żmujdzi poślubieni w bardzo młodym wieku, wkrótce przed wojną francusko-rosyjską, mający niedużą fortunę, przybyli na Litwę w celu osiedlenia się na gospodarstwie, w którym ojciec mój miał zamiłowanie. Matka życzyła nabyć na własność choćby niewielką wieś. Ojciec jako gospodarz z powołania, pragnąc rozwinąć zdolności swoje na większą skalę, postanowił przedewszystkiem przypatrzyć się wzorowym gospodarstwom, następnie wziąć wielkie dobra w administrację — i tak się stało. Zamieszkali rodzice tymczasowo w cudownie pięknej wiosce Słowiki nad Niemnem (w dawnem województwie Augustowskiem) w pobliżu Giełgudyszek, szerokich majętności Keydla i tam ojciec częste robiąc wycieczki, zawarł stosunki z tym wtenczas na całej Litwie najsławniejszym agronomem i wiele od niego skorzystał.

Tymczasem wybuchła straszna wojna, a nasz Hieronim przyszedł na świat w r. 1812 d. 7 grudnia, w dzień św. Ambrożego.

Pierwsze swoje kroki dziecięce zaczął stawiać na pięknych łanach uroczej natury nad brzegami bogato zdobnemi w śliczne krzewy Niemna, wśród śpiewu niezliczonego mnóstwa słowików — od których miejscowość ta zapewne wzięła swoje nazwisko. Zdaje się, że piękna przyroda i pieśni tych nadobnych śpiewaków musiały bardzo rozkołysać duszę małego Hieronima, bo od najdawniejszych dni okazywał niezwykłe zdolności do muzyki; wyśpiewał odrazu każdą słyszaną nutę, a nawet śpiewy improwizował i można powiedzieć, bez przestanku śpiewał, skoro tylko nie mówił, a głos miał piękny i pełny. Bo zresztą w owych czasach, o ile zapamiętam, cała ludność tamtejsza była tak rozśpiewana, że przez całe dnie i wieczory słychać było rzewne i miłe pieśni, czy to na polu przy ciężkiej pracy, czy to w domu przy żarnach, czy przy kądzieli, wciąż śpiewy i święte, i legendy ludowe, i śpiewy weselne. Miły to zaprawdę i zbawienny zwyczaj, który nie zostawia czasu na swary i krzyki, jakie teraz tak są przykre pomiędzy ludem.

Matka nasza rzadkich cnót chrześcijańskich kobieta, cichości i skromności anielskiej, — pokój niosąca, cała poświęcona domowi, także miała zwyczaj przy pracy ręcznej zabawiać się pieśniami świętemi i dzieci jej wtórowały. W matce naszej nie było ani cienia próżności pod żadnym względem (chociaż ją pamiętam bardzo ładną z cerą świeżej białości) nie szukała ona nigdy rozrywek poza domem, — całe jej życie, cały świat to rodzina i ludzie powierzeni jej opiece. Stała ona święcie na straży domowego ogniska i pilnowała troskliwie, aby się przykazania Boże pełniły nietylko w rodzinie, ale i pomiędzy sługami i wieśniakami, których bardzo kochała — a co było też jednym z wydatnych rysów usposobienia ś. p. Hieronima — opatrywała w chorobie, lekarstwa dając z własnej apteczki. Wysokie pojęcie o obowiązkach miała najdroższa nasza matka i prawdziwie, jeżeli się godzi niewiastę zwać

1) Rękopis wspomnień ś. p. Marji Moniki z Kajsiewiczów Zeithejmowej zawdzięczamy uprzejmości SS. Niepokalanek w Jazłowcu. Tekst według oryginału.

kapłanką domowego ogniska, to ona nią była w całem znaczeniu tego wyrazu.

Muszę tu przytoczyć jeszcze jedną okoliczność, która miała miejsce w epoce urodzenia Hieronima... Dają znać, że kilkunastu pobitych i przemarzniętych Francuzów, zaledwie się wlokących, prosi o gościność; było to po berezyńskiej klęsce. Nastąpiła sprzeczka. Domownicy nie chcieli ich wpuścić, by matki nie przestraszyć. Lecz dowiedziawszy się o tem, kazała matka koniecznie ich przyjąć, mówiąc, że gdyby zamknięto drzwi przed nieszczęśliwymi, toby jej Bóg na dziecku nie pobłogosławił. Rozlokowano ich na noc w ciepłej izbie i nakarmiono tych biedaków, poubieranych w przeróżne kostjumy, począwszy od fraka aż do salopy damskiej. Ale, niestety, jakiż to był nazajutrz przestrach i kłopot, kiedy ich znaleziono wszystkich nieżywych! Zanadto musieli być przemarzli i chorzy!

Kilka lat upłynęło w tem miłem ustroniu [2]). Następnie rodzice przenieśli się do Fredy, naprzeciwko Kowna, gdzie jeszcze szersze i piękniejsze otaczały nas widoki. Ojciec teraz poświęcił się gospodarstwu zupełnie z największem upodobaniem i P. Bóg błogosławił mu. Ziemia dobra, plony obfite, przepyszne rasy bydł i koni, oraz pszczelnie. Matka zajmowała się ogrodnictwem (kochała się w kwiatach) i mlecznem gospodarstwem na wielką skalę. Wszelkie gatunki wyborowych serów posyłane były do Gdańska na sprzedaż. Inne to było gospodarstwo niż się daje widzieć teraz. U nas prócz cukru, kawy i herbaty, nic więcej do domu nie kupowano, herbaty i kawy dzieciom nie dawano, tylko dla starszych. Wszystko robiło się w domu i do wszystkiego przykładała własnej ręki kochana nasza matka. Konfitury w obfitości, najrozmaitsze konserwy, marynaty, wędliny, nalewki, miody wyborne, jabłeczniki, a nawet wino szampańskie wyborne, urządzone z soku drzew klonowych i brzozowych, z których w marcu za pomocą rurek drewnianych ściągano soki. Nigdy tego szampana nie zapomnę, bo był smaczniejszy i zdrowszy nad wszelkie trunki. A w każde święto zimą przychodziły na stół świeże, jakby prosto z drzewa owoce. Co to była za radość dla dzieci. Dziwny matka miała talent urządzania wszystkiego. Owoce te prosto z drzewa wpuszczane bywały w wielkie gąsiory szklane, mocno korkowane, smołą oblane i zatapiane w studni do czasu użycia.

Za wiele i za szczegółowo mówię o rzeczach mniejszej wagi. Ale kiedy już raz do mówienia przyszło, chciałam wykazać jak to droga nam matka „dowcipem rąk swoich“ wiele czyniła. Co zresztą, biorąc w zastosowaniu do ogółu, wielkiej byłoby doniosłości, bo nie wychodziłyby sumy pieniędzy zagranicę na delikatesy, które i lepiej w domu urządzone być mogą.

Hieronim był z rodzeństwa najstarszym, ja po nim i jeszcze trzy siostry po mnie. Dwóch braciszków w dzieciństwie umarło [3]). Wzięto do nas nauczycielkę i dojeżdżało dwóch profesorów z Kowna na lekcje, oraz zacny ksiądz Domański, bardzo światły, do religji (który nam zawsze przynosił pomarańcze i cukierki, a mnie szczególnie kochał, nazywając złotem jabłkiem: ponieważ byłam słabowita, niewolno mię było martwić i zawsze ściśle tego przestrzegał). Była obawa o moje życie, gdym na świat przyszła i dlatego trzymało mię do chrztu dwoje ubogich żebraków, aby ci uprosili mi życie i błogosławieństwo Boże. Nieraz potem zaglądali do nas a ja im usługiwałam.

Hieronim uczył się z nami do lat 10-ciu. Z tego czasu pamiętam wiele jego figielków, bo był bardzo żywy i wesoły. Każde z dzieci miało swój wyłączny, mały ogródek do uprawiania własnemi rękami i każdy swoje wyłączne drzewa owocowe. Była to niemała zachęta do rannego wstawania, aby zobaczyć co wyrosło, co rozkwitło lub dojrzało i co spadło z drzewa. Każdy się spieszył po swoje owoce. Heruś, jak go nazywano, był zawsze rannym ptaszkiem, ale często ja jeszcze ranniejsza. Otóż czasem on pozbierał i pochował wszystkie owoce i trzeba było bardzo długo prosić, aby je oddał. Razu jednego wstałam o wiele raniej od niego i ukryłam się za drzewami i widziałam jak wszystko posprzątał; a jak siostry przyszły zaczął ubolewać, że musiał być złodziej w nocy, bo owoców niema! Siostry w płacz — a ja na to: „A ja wiem gdzie jest ten złodziej. Oto tu stoi przed nami“. Dopiero się zaczęły sprzeczki i żale, które jednak zakończyły się zgodą, bo Heruś przyniósł owoce i siostry przeprosił. Mnóstwo nam płatał figlów, ale zawsze najlepsze miał serce i wszystkiem się dzielił. My znowu nie mogliśmy się obejść bez niego, takieśmy go kochały i zabawa wtenczas tylko szła dobrze, kiedy on prowadził.

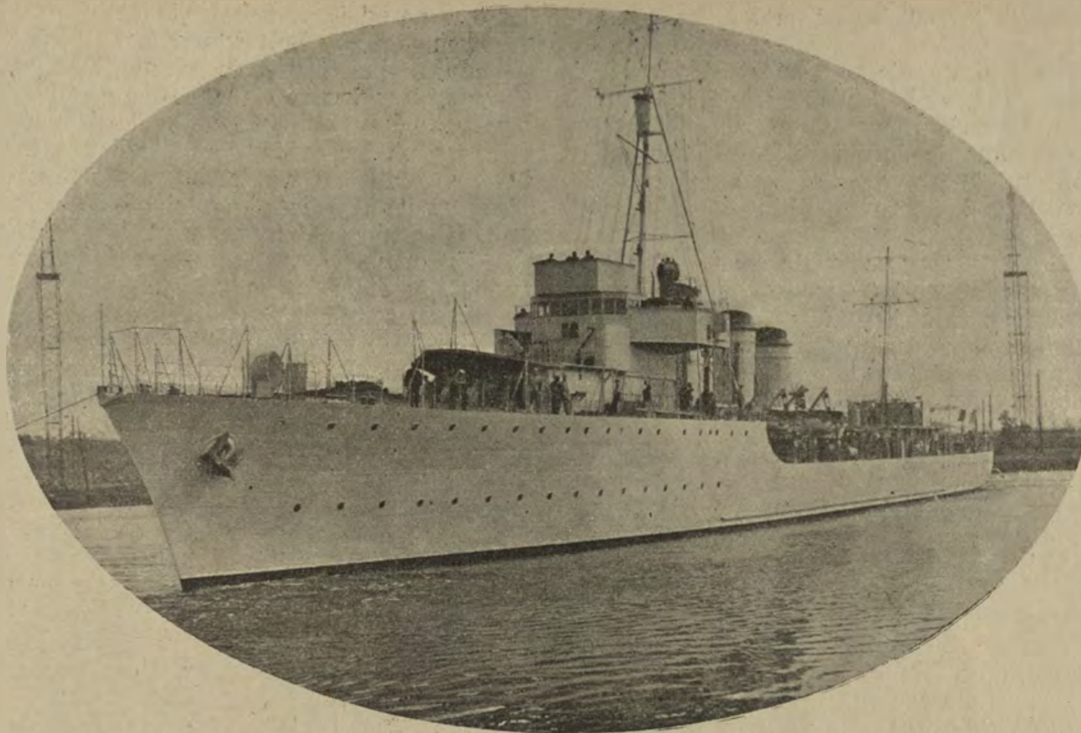
Był w ogrodzie duży plac, obsadzony drzewami, miejsce naszej gonitwy i różnych igraszek. Tam usypaliśmy ogromny kopiec z liści suchych i na taką trybunę lubił Hieronim wchodzić i prawić nam, co mu do głowy przyszło — najczęściej kazania, mówiąc, że jest księdzem i że powinnyśmy go słuchać. Prawdziwie, jak na takie dziecko, mówił wiele rzeczy nietylko rozsądnych, ale i pięknych, np., że ponieważ w katechiźmie napisano, że człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Boże, zatem człowiek ma obowiązek *naśladowania* Boga i tyle zrobić dobrego i pięknego co i P. Bóg. A jeżeli nie ma co do roboty w miejscu, gdzie się urodził, powinien iść dalej, choćby na koniec świata. „Wy mnie teraz słuchacie, ja was uczę, ale jak dorośniecie, już mnie słuchać nie będziecie, bo ja też sobie pójdę tam, gdzie mnie słuchać będą“. Tej to mniej więcej treści były jego przemowy, które jak teraz rozważam, były wielkiego znaczenia. Po skończonej mowie ściągano mówcę z trybuny i dalej w pląsy.

Niezwykle miłe wieczory przepędzaliśmy na t. zw. wieczorynkach. Była u nas przędzalnia i tkalnia. W każdą sobotę wieczorem przychodziły wiejskie dziewczęta prząść prawie do godz. 2-ej w nocy, a przytem kilku bajarzy, którzy mieli obowiązek opowiadać bajki o różnych zaczarowanych książętach i te bajki były popijane miodem i zajadane suszonemi owocami, a nam wolno było siedzieć i słuchać do godziny 12-ej. Cóż to była za rozkosz! Żaden teatr pewnie nikogo tak nie zabawił, jak nas te opowiadania cudowne. Ja, jako najstarsza, także przędłam na ładnym kołowrotku i nie bez pożytku, bo każdej z nas obowiązkiem było, jak podrastała, uprząść sobie na chustki do nosa, na koszule i na nici do pończoch, a także zrobić sobie pończochy. Ponieważ tkalnia była w domu, nietylko tkano płótno, ale i bieliznę stołową i flanelę. Wełna z własnych owiec była farbowana pięknie, pod dyrekcją naszej matki, na różne kolory i z tego się tkały piękne flanelki na suknie nasze zimowe, a grubsze dla sług. Nici się także pięknie farbowały i tkały się ładne płócienka na nasze letnie sukienki, grubsze dla służących.

(Dok. nast.).

[2]) W 1814 r. w dzień Niep. Poczęcia, urodziła się pisząca te wspomnienia Marja Monika, w tychże samych Słowikach.

[3]) Najmłodsza z sióstr była Walerja, Siostra Miłosierdzia, dożyła późnego wieku, zmarła w Poznańskiem.



Nowy przeciwtorpedowiec polski „Wicher".
Długość 103 m. szerokość 10. szybkość 34 węzłów, działa po 138 mm. marynarzy 155.

WALKA O DOSTĘP DO MORZA

— Morze to główny gościniec po kuli ziemskiej, to źródło bogactwa — twierdzi mądrość ludzka.

Ale żeby jeździć po tym gościńcu i korzystać ze źródła bogactwa, trzeba posiadać środki ku temu, trzeba mieć flotę, która dla narodu, mieszkającego nad morzem, jest tem, czem pletwy dla ryby a skrzydła dla ptaka. To też dążenia narodów, mieszkających w pobliżu morza, do posiadania jego wybrzeży, były znane od wieków. Każdy naród, który potrafił usadowić się nad morzem i wyzyskać jego bogactwa, był bogaty, sławny i przetrwał do naszych czasów. Tak było z Egiptem i Grecją w starożytności, z Hiszpanją i Portugalją w wiekach średnich, z Holandją, Szwecją i Anglją w wiekach nowych i najnowszych.

Polska w zaraniu swego życia posiadała dostęp do morza, ale nie umiała tego dobrodziejstwa wyzyskać, dlatego Niemcy, jako naród praktyczniejszy, odpychali naszych przodków od morza wielokrotnie. Walka o dostęp do morza, walka o Pomorze, to walka historyczna między Polską, a Niemcami, to walka nieustająca. Nieszczęściem naszem było, że walka Polski o wybrzeża morskie nigdy nie była ciągła i planowa, lecz toczyła się z przerwami.

Legenda głosi, że wnuk Lecha, kneź Wizymir, czy też Wizymierz w końcu VI wieku popłynął na wielu okrętach Wisłą wdół, wypłynął na morze Bałtyckie, stoczył z Duńczykami bój u ujścia Wisły, zwyciężył ich i na pamiątkę pierwszego zwycięstwa polskiego na morzu założył miasto, które nazwał portem K'Danji (Gdańsk).

Tak głosi legenda. Ile tam jest prawdy, a ile wymysłu czy może poezji, dziś zbadać jest trudno. Ale każda legenda i każda bajka ma u podstaw źdźbło prawdy, bo wszak nic z niczego nie powstaje. I w tej legendzie kryje się cząstka prawdy historycznej, tylko zamglnej czasem, zapylonej wiekami i zaprószonej niepamięcią ludzką.

Bolesław Chrobry pierwszy z królów polskich dotarł do morza. Czy zdawał on sobie sprawę ze znaczenia morza dla państwa, czy widział tylko w niem dogodną granicę, dziś rozstrzygnąć jest trudno, ale w każdym razie starał się związać Pomorze z Polską. A być może, stojąc nad falami modrego Bałtyku i patrząc na bezgraniczną przestrzeń wód oraz na bujające po falach okręty i łodzie, Bolesław dumał o żegludze polskiej. Żadnych pewnych wiadomości o tem nie posiadamy. To tylko jest pewne, że dla żeglugi morskiej nic nie uczyniono. Szum fal morskich nie poruszył narodu polskiego.

Następcy Chrobrego nie potrafili utrzymać wybrzeży morskich. Niemcy odepchnęli naszych przodków od Bałtyku. Bolesław Śmiały i Władysław Herman próbowali dotrzeć do morza, ale bez skutku. Dopiero Bolesław Krzywousty po uporczywych trzydziestoletnich walkach zdobył Pomorze, a władzę Polski nad morzem rozszerzył za Odrę. Podanie głosi, że Bolesław z wielkim wojskiem przepłynął na okrętach na wyspę Rugję.

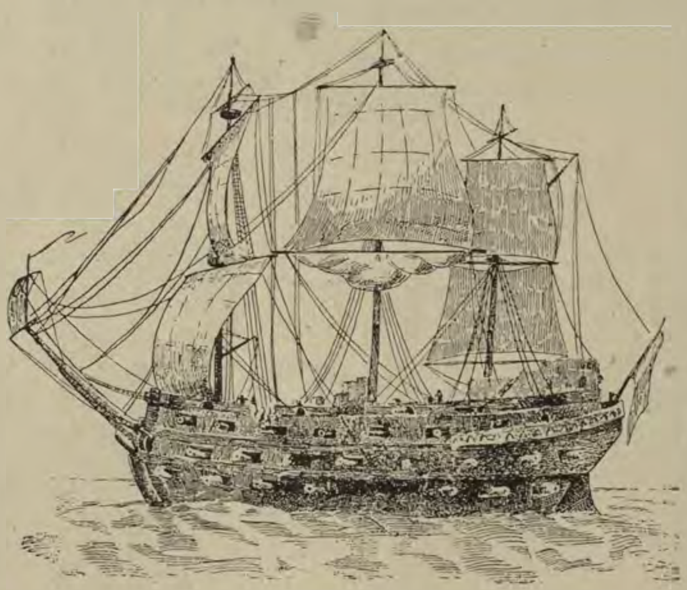
Utrzymanie wybrzeży Bałtyku przez Polskę było niesłychanie ważne, gdyż Pomorzanie zajmowali się żeglarstwem i handlem morskim, którego głównem ogniskiem były nadbrzeżne ruchliwe miasta: Gdańsk, Kołobrzeg, Belgrad nad Persantą, Wolin i Szczecin. Lecz następcy Bolesława, zajęci waśniami domowemi, i kłótniami wewnętrznemi, stracili Pomorze, z takim trudem zdobyte przez Krzywoustego. Niemcy znowu

odepchnęli naszych przodków od morza na przeszło trzy wieki.

Naród polski nigdy nie przejawiał skłonności do morza i żeglugi morskiej. Legenda podaje, że Jan z Kolna dotarł do Ameryki jeszcze przed Kolumbem, ale w mundurze admirała duńskiego. Nawet zwycięstwo pod Grunwaldem nie przywróciło Polsce wybrzeży morskich. Dopiero pokój toruński (1466 r.) oddał Polsce Pomorze.

Z tą chwilą Polska znowu miała otwartą drogę na szeroki świat i mogła swobodniej oddychać. Rozwinął się handel z Europą Zachodnią. Wtedy w Anglji, Italji, Francji i Holandji krzewił się wielki przemysł, zatrudniający znaczną część ludności, wskutek czego rolnictwo podupadło i wypadało sprowadzać ziarno z Europy Wschodniej.

Od końca XV wieku przez długie lata Polska była głównym dostawcą zboża dla państw zachodnich, wzamian otrzymywała wyroby przemysłowe i tkaniny, kierowane przez Lizbonę i Antwerpję do Gdańska. W porcie gdańskim panował nieustanny ruch, las masztów wystrzelał nad wodami Wisły. Kupcy gdańscy doszli do ogromnych bogactw. Znaczną część towarów przewozili na własnych okrętach. Zaledwie było kilku kupców w Toruniu i Krakowie, którzy mieli swoje okręty w porcie gdańskim. Cały handel morski pomiędzy Polską, a Europą Zachodnią znajdował się w rękach kupców gdańskich, obojętnych lub nawet wrogich w stosunku do Polski. Naszych przodków pochłonęła całkowicie polityka lądowa.


Polski okręt wojenny trzechpokładowy (XVII w.).

Nie było w Polsce monarchy, ani też żadnego męża stanu, któryby zrozumiał zagadnienie morza, ocenił należycie korzyści stąd płynące i pomyślał o budowie floty polskiej. Nikt w Polsce nad tem się nie zastanawiał. Kazimierz Jagiellończyk panował w chwili, gdy w Europie Zachodniej żegluga rozwijała się niezmiernie bujnie, gdy żeglarze zapuszczali się coraz dalej na wody oceanów. Ani sam król, ani żaden z jego do radców nie pomyślał o żegludze polskiej. Szczególniej Zygmunt Stary panował w epoce wielkich odkryć. Kolumb, Vasko de Gama, Magellan światy nowe odkrywali, całą Europę napełnili legendarnemi wieściami o cudach nowych krajów. W Polsce nikt się tem nie zainteresował. Bajeczne wieści o nowych światach wstrząsnęły Europą, ale Polski nie poruszyły: kołowacizna morska opanowała naród polski.

Zygmunt-August pierwszy pomyślał o żegludze morskiej, ale nie potrafił zaciekawić tem narodu polskiego. Można było to uczynić, działając na ambicję magnatów. Król nie ułożył organizacii floty państwowej, która powinna się oprzeć o skarb państwa. Niepoważne było żądanie króla, skierowane do Gdańszczan, aby wystawili flotę wojenną własnym kosztem: sprawy państwwe załatwiają nie poszczególne miasta, lecz samo państwo według ułożonego planu.

Mgliste pojęcie potrzeby floty państwowej kiełkowało w narodzie, o czem świadczy warunek w Paktach Konwentach, aby król własnym kosztem wystawił flotę wojenną. Lecz pojęcie to nie było skrystalizowane z punktu widzenia państwowego, gdyż sprawy państwowe winny się opierać o skarb państwa, nie zaś o prywatną kieszeń króla. Takie załatwienie sprawy było wygodne ze względów egoistycznych ówczesnej klasy rządzącej, bo nie trzeba było uchwalać nowych podatków, ale zgubne ze względów państwowych.

Zygmunt III, rozpocząwszy wojnę ze Szwecją, rozumiał, że flota jest potrzebna, ale załatwił poważną sprawę w sposób niepoważny: żądał, aby flotę wystawił Gdańsk i książę pruski.

Jedynie Władysław IV-ty zrozumiał należycie znaczenie morza dla państwa, postawił zagadnienie morskie na drodze właściwej i opracował plan pracy morskiej w całej rozciągłości. Lecz naród nie poparł króla w jego rozumnych dążeniach, a nieszczęście chciało, że królowie takiej miary, jak Stefan Batory i Władysław IV, panowali bardzo krótko i nie zdążyli swoich planów wcielić w życie.

W czasie najazdów szwedzkich Polska na morzu była zupełnie bezbronna. Szwedzi przerzucili swe wojska przez Bałtyk bez żadnej obawy. Nasi przodkowie nie mogli im przeszkodzić w harcach morskich, bo nie mieli żadnej siły na morzu. Potem nastąpiły bunty kozackie, panowanie Sasów, upadek Polski i odepchnięcie Polski od morza na półtora wieku.

Gdyby naród polski był zrozumiał znaczenie morza dla państwa i poparł usiłowanie rozumnych królów, dziś Polska byłaby państwem zupełnie innem. Bałtyk miałby charakter „Mare Polonicum". Niestety, stało się inaczej i historja Polski potoczyła się innym torem.

Dn. 10 lutego 1920 r. Polska stanęła nad Bałtykiem po raz czwarty, ale idea morska nie wsiąkła w krew narodu polskiego. Świadomość potrzeby posiadania morza, tego naturalnego wyjścia na szeroki świat, błąkała się nieśmiało, lecz nie była powszechna. Niebezpieczeństwo niemieckie, grożące naszym wybrzeżom, pogłębiło w nas tę świadomość. Tak bywa często. Nieraz nie ceni się tego, co się posiada, a nauczy się cenić, gdy niebezpieczeństwo zagrozi. Tak się stało i z naszem dostępem do morza. Gdy Niemcy przez usta swego ministra Treviranusa ogłosili dążenie do rewizji naszych granic zachodnich i odebrania nam dostępu do morza, idea morska stała się u nas popularna.

W tym właśnie czasie, kiedy jeszcze nie umilkły echa mowy Treviranusa, dzienniki belgijskie ogłosiły nieznany dotychczas memorjał feldmarszałka Hindenburga, przedłożony przez niego rządowi Rzeszy Niemieckiej w lipcu 1918 r. Człowieka o zdrowych zmysłach, czytającego ten memorjał, ogarnia przerażenie: takie poglądy spotykało się tylko w zaraniu średnich wieków. Hindenburgowi się zdaje, że narody, mieszkające na wschodzie i na zachodzie Niemec, są tylko po

to, aby ułatwiać kolonizację niemiecką. Hindenburg radzi „zlikwidować francuską posiadłość ziemską na zdobytych obszarach i skolonizować je przez Niemców — to stworzy znośne warunki graniczne dla przyszłej wojny".

Tak pisał Hindenburg, dzisiejszy prezydent Rzeszy Niemieckiej. Gdy inne narody dążą do powszechnego pokoju, Niemcy myślą o wiecznej wojnie.

„Co się tyczy Polski — pisał Hindenburg — pozostanie ona nam wroga, dopóki sen o wielkiej Polsce nie będzie unicestwiony. Należy jednak odrazu odebrać Polakom wszelkie podstawy nadziei na wielkość Polski. W tym celu należy stworzyć wał ochronny, oczyszczony przez Polaków, a zaludniony przez Niemców, idący przez Mławę, Płock, Koło i bieg Warty aż do Będzina. Wówczas dopiero Polacy, postawieni wobec potęgi Niemiec, panujących nad ich granicą, poszukiwać będą — po kilku manifestacjach — oparcia o imperjum niemieckie"...

Jednak zimna natura Hindenburga rozumie, że opinja publiczna uważać będzie projektowany akt za samowolne i nieuzasadnione okrucieństwo...

„Ale z łatwością będzie można obalić zastrzeżenie w sprawie wywłaszczenia polskiej własności, albowiem nowoczesne sumienie prawnicze uległo zmianom w kwestjach wolności i własności prywatnej. Głęboko sięgające interwencje państwa w życie osób prywatnych i w ich prawo własności, które wydawały się niesłychanem jeszcze przed niewielu laty, dziś uchodzi za oczywiste prawo potęgi państwa"...

Ma słuszność Hindenburg, że głoszone przez niego zasady mogą świadczyć o fizycznej potędze państwa, ale jednocześnie świadczą o moralnem ubóstwie tego państwa. Poglądy jego są tak potworne, że wskazują o jego moralnem zboczeniu, bo trudno przypuścić, aby człowiek mógł w XX wieku coś podobnego radzić swemu rządowi.

Memorjał Hindenburga i mowy Treviranusa przypomniały Polsce o nieustającem niebezpieczeństwie niemieckiem i poruszyły wszystke warstwy narodu polskiego, o czem świadczą mnogie wiece i manifestacje, których jedyną treścią jest:

„Nie damy ziemi skąd nasz ród"...



Tomasz Sierpinek. (Pierwszy hetman wojska morskiego za czasów Zygmunta Augusta).

Ale to nie wszystko. Niemcy są narodem praktycznym i nie przestraszą się krzyków, bo wiedzą, że protesty słowne, nawet bardzo szczere i gorące, nieraz szybko mijają. Natomiast każdy czyn, powiększający siłę Polski, zwiewa Niemcom spokojny sen z ich powiek. Dlatego najlepszą odpowiedź Niemcom dał Związek Inwalidów w Łodzi, ogłaszając zbiórkę funduszów na budowę łodzi podwodnej, jako odpowiedź Treviranusowi. Rozumne postanowienie inwalidów łódzkich powino być nakazem chwil bieżącej dla każdego Polaka, niezależnie od miejsca zamieszkania.

Współczesna łódź podwodna, odpowiadająca wymaganiom morza Bałtyckiego, kosztuje około 10 miljonów złotych. Polaków jest przeszło 30 miljonów. Jeżeli każdy z nas złoży na ten cel jeden złoty, wtedy zbudujemy trzy łodzie.

Tak czyniono w innych państwach. Szwedzkie społeczeństwo zbudowało swojej flocie pancernik za 8 miljonów dolarów, rosyjskie — przeciwtorpedowiec, same Niemki przed wojną światową ufundowały ze składek krążownik „Frauenlob".

Tak powinno być u nas i tak musi być: łódź podwodna, zainicjowana przez inwalidów łódzkich musi wypłynąć na fale Bałtyku w czasie jaknajkrótszym.

„Nie damy ziemi skąd nasz ród".

Pułkownik Adolf Małyszko.

Z KSIĘGI PIELGRZYMA.

JA SIĘ NIE MODLĘ!...

Wracałem z Powązek pełen poważnej zadumy.

Lekki wiatr potrząsał drzewami cmentarnej alei i sypał krociami liści. Sypał na groby, sypał na głowy tych, co przybyli w Dzień Zaduszny nawiedzić mogiły swych najdroższych i rzewnem tchnieniem modlitwy powiać słodko a błogo na ich dusze w zaświatach.

Miałem wrażenie, że zamierające już drzewa chciały złotem swych liści zapłacić nam żywym za serce, okazane umarłym.

Niesiony falą ludzką, odpływającą ku miastu, byłem już niedaleko bramy, gdy w jednej z bocznych alei spostrzegłem swego znajomego z lat dawnych. Siedział na ławeczce przy grobowcu familijnym i całym sobą wsparłszy się na lasce — dumał.

Zbliżyłem się ku niemu i przywitałem serdecznie.

— I ty — rzekłem — przyszedłeś na cmentarz? pewnie pomodlić się na grobie matki...

— Nie — odparł sztywno — przyszedłem tak tylko, dla zwyczaju. Od czasów uniwersyteckich ja się nie modlę...

— Ty się nie modlisz? — powtórzyłem za nim, jak echo. A dlaczego?

— Dlaczego? Długa historja! W dwu słowach da się powiedzieć tak: Klepanie pacierzy dobre dla prostaków nieokrzesanych. Modli się motłoch, nie modli się inteligencja...

— A czy mnie zaliczasz do inteligencji? — zagadnąłem.

— Naturalnie, — odparł nieco zdziwiony.

— A jednak ja się modlę. I jeżeli masz chwilę wolną, to nad grobem twej matki opowiem ci o inteligencji, która się modlić umie.

Nie zachęcał, nie bronił... Obok niego zasiadłszy, mówiłem...

— Widzisz tę falę ludzką, co, płynie alejami cmentarza i rozpryskuje się na grobach? Dziś ona ogarnia nietylko miasto nasze, lecz i świat cały. To rzeka ogromna, co płynie na groby z modlitwą, lub z pamięcią przynajmniej o zmarłych...

Gdy staniemy nad wielką rzeką, którą okiem objąć trudno, a chcemy wiedzieć skąd płynie, pytamy o jej źródła. Rzeka, która tuż obok płynie i nas obu zagarnia, ma swoje źródła tam, gdzie je ma wiara katolicka, czyli powszechna, wiara o zasięgu wszechświatowym.

A skąd płynie ta wiara? Gdzie ma swe źródła? Jest ich dwa. Jedno tryska w sercu ludzkiem, drugie tryska w sercu Boga.

Bóg od początku postanowił udzielić się człowiekowi. Wiedział, że człowiek, istota rozumna, z samego widoku tylu Jego dzieł odgadnie istnienie Boga, Twórcy tak wielu, tak wielkich i tak pięknych światów. A jeśli odgadnie, to choćby ciekawością powodowany, zapragnie wejść w kontakt, zadzierzgnąć stosunki z Istotą Najwyższą, żeby wywyższyć się samemu...

Dlatego też Bóg postanowił Sam udzielić się pierwszy człowiekowi, wejść z ludźmi w umowę, zadzierzgnąć węzły przyjaźni. Okazał się tak demokratyczny i zniżył się... Nazywamy to religją, związkiem dwustronnie wiązanym, między Bogiem i człowiekiem. Te nawiązane stosunki religijne podtrzymuje ze strony człowieka *modlitwa.*

Jest to jakby rozmowa. Rozmowa człowieka z Bogiem. Rozmowa dwu istot rozumnych, myślących, inteligentnych i sobie oddanych. Nic to nie znaczy, że Boga w tej rozmowie człowiek nie dotyka dłonią, źrenicą. Dotyka Go sercem, myślą, pamięcią, może dotknąć całą duszą swoją! Jak brata, od którego list otrzymuje z za oceanu!

Powiedz mi, czy rozmawiać umie tylko prostak nieokrzesany, tylko motłoch ludzki? Czy rozmawiać nie umie inteligencja? Nie mam na myśli gadatliwości, mówienia nie w czas i nie w miarę, ale zwracam uwagę twoją na tę cechę, charakteryzującą nas ludzi, której nam zdają się zazdrościć zwierzęta, na mowę, na rozmowę...

Rozmowy z drugimi potrzebuje serce ludzkie. I najbardziej nieokrzesany zulus, czy papuas i najwykwintniejszy europejczyk, odruchem serca wiedzeni, potrzebują podzielić się z drugimi ludźmi treścią własnej duszy. Małą ochotę do rozmowy okazują tylko ludzie bardzo ograniczeni, matołki ludzkie, bo dusza ich nie posiada własnej, myślowej treści, nie ma czem się dzielić z innymi. Natomiast inteligentna, pogłębiona dusza posiada w sobie bogactwo treści, którem się chętnie dzieli się z istotą drugą...

Objaw powyższy jest do tego stopnia czemś naturalnem i ludzkiem, że dajemy nazwę dziwaków ludziom, którzy stronią od towarzystwa bliźnich. A „dziwactwo“ uważamy za brak inteligencji...

Tak więc prostak nie umie się udzielić bliźnim, dziwak, lubo inteligentny — nie chce, a tylko normalna inteligencja i chce i umie udzielać się bliźnim, rozmawiać z nimi...

Otóż teraz, skoro klucz wiary katolickiej otwiera nam przybytki niebios, serce ludzkie zatęskniło i zatęsknić musiało do rozmowy z Bogiem. Tej rozmowie, oczywiście, należy się pewne wyróżnienie, pewien wyższy ton i niecodzienna „modła“, połączona z wyjątkowem, większem uszanowaniem i prostotą dziecięcą wyrażeń. I rodzi się pierwsza „modła“ z duszy Chrystusowej wyczerpnięta, sposób i formuła przemawiania do Boga na tej niebiańskiej audjencji, użyczonej ludziom: „Ojcze nasz!“ I powstaje za nią innych „modłów“ wiele, rodzi się rozlana po świecie całym *modlitwa.* Dusze ludzkie modlą się, rozmawiają z Bogiem, każda po swojemu tak, jak kwitną kwiaty. Lilja inaczej, kwiat leśnego wrzosu inaczej. Są kwiaty wspanialsze, są i ubożuchne, ale wszystkie według swej możności rozlewają dokoła tę cudną woń kwietną, którą odycha ziemia i niebo...

Tak i dusze, gdy się modlą. Ze serca swego, zwróconego ku Bogu, wylewają wonne tchnienie ducha, którem orzeźwia się świat widzialny i świat niewidzialny, jakby kwiatów wonią. Im wspanialszy kwiat, tem cudniej pachnie, im bardziej inteligentny duch, tem wznioślej z ludźmi rozmawia i tem serdeczniej, korniej, rzewniej umie i chce rozmawiać z Bogiem na modlitwie...

Tak, mój drogi. Nie modli się motłoch, modli się *inteligencja* prawdziwa.

M.



ARCYBISKUP BILCZEWSKI

— Bez ś. p. arcybiskupa Bilczewskiego — powiada w nekrologu p. Jan Zamorski — nie jest do pomyślenia to odrodzenie narodowe, jakie się dokonało w pierwszych latach XX wieku na Ziemi Czerwieńskiej. Tam po raz pierwszy w pracy i walce o dusze, zniknął przedział między nauką, a religją — między inteligencją świecką, a duchowieństwem... Od wieków nie było tego zespolenia się wszystkich ludzi polskiego pochodzenia w jednej myśli, w jednej pracy i w jednej ofierze. I byłoby trudno odmierzać dziś, kto więcej zdziałał, duchowni, czy świeccy, bo wszyscy spełnili swój obowiązek.

A jednym z najgłówniejszych, naczelnym budowniczym tego stanu ducha był ś. p. arcybiskup Bilczewski. Dając podnietę do tej religijnej i narodowej pracy, sam świecił jej przykładem".

Dlatego dziś warto przypomnieć tę postać piękną, tę postać kapłana-patrjoty, ale — nie mniej — męża nauki znakomitego. Bo ś. p. arcybiskup Bilczewski to wybitny polski książe Kościoła, który w czasach naszej narodowej niewoli zapisać się musi trwale w pamięci potomnych, bo czasy jego władania lwowską archidiecezją — to najtrudniejsze chwile tych ziem kresowych, kiedy rzucone zostało przez rząd zaborczy pierwsze zarzewie ostrych walk narodowościowych, polsko-ruskich, to czasy wielkiej wojny i rosyjskiej inwazji, to te straszne dni ukraińskiej nawały.

W tych czasach żył i działał na stolicy bł Jakóba Strepy — arcybiskup Bilczewski. ten pastor bonus, o którym papież Pius X powiedział, że jest „jednym z najlepszych biskupów świata".

Arcybiskup Józef Bilczewski urodził się w 1860 roku w Wilomowicach w rodzinie włościańskiej. Studja średnie odbywa w Wadowicach, a uniwersyteckie w Krakowie, Wiedniu, Paryżu i Rzymie. Doktorat św. Teologji otrzymuje na uniwersytecie wiedeńskim. W 1890 r. jest katechetą w gimnazjum św. Anny w Krakowie i wikarjuszem przy tamtejszym kościele św. Piotra i Pawła. W rok później zostaje profesorem dogmatyki szczegółowej na uniwersytecie lwowskim, na którym był rektorem i kilkakrotnie dziekanem wydziału teologicznego. Jako profesor wykazał gruntowną uczoność, a dzięki darowi wymowy zdołał wzbudzić wielkie zainteresowanie swoich licznych słuchaczy dla przedmiotu. Pierwszorzędny znawca archeologji, swoje wykłady oparł szczególniej na badaniach katakumbowych. W swej pracy naukowej, arcybiskup Bilczewski nie poprzestał tylko na wykładach uniwersyteckich, ale pozostawił cały szereg dzieł pomnikowych, z pośród których należy tutaj wymienić: „Archeologję chrześcijańską wobec historji Kościoła i dogmatu" (dzieło tłumaczone na język czeski), „Dziewice Bogu poświęcone w pierwszych wiekach Kościoła", „Znaczenie badań katakumbowych dla historji sztuki i religji", „Genezę i historję symbolu apostolskiego", „Giovanni Babtisto de Rossi", „Akta do historji prześladowań pokutniczych", „Arcybjusza Glubvio", „Archeologję w świetle najdawniejszych pomników piśmiennych" i cały szereg rozpraw druk. w czasopismach.

Prócz dzieł naukowych arcyb. Bilczewski wydał cały szereg — świetnych stylem — listów pasterskich, dalej mów i kazań, prace p. t.: „Komunja święta", „Święte życie — święta śmierć!", „Chleb żywota", dalej znów rozprawy o rozkładzie protestantyzmu w Niemczech, wreszcie ostatnią swoją pracę — na łożu śmierci wykończoną — o miłości ojczyzny.

Kiedy w 1901 roku umiera sędziwy arcybiskup Morawski, powołany zostaje na jego następcę — ks. dr. Józef Bilczewski.

Nowy duch i życie weszło zaraz w archidiecezję lwowską. Nowy książę Kościoła powiada, te pamiętne słowa: „Nie zostałem biskupem aby mi służono, lecz abym ja służył".

Rozpoczyna swą pracę od reformy zaniedbanego seminarjum duchownego i jak kardynał Puzyna w Krakowie, tak arcybiskup Bilczewski stwarza całe pokolenie dzielnych kapłanów, świadomych swej roli, jaką mają spełnić tam na kresach, po parafjach, w szkołach, wśród ludu. Gdy jeszcze stara się o poprawienie im bytu materjalnego, rozpoczyna nową, wielką pracę — budowę kościołów, kościołków, kaplic publicznych, restaurowanie zniszczonych, fundowanie nowych parafji, kapelanji — na całym obszarze swej archidiecezji. A, jedną z najpiękniejszych świątyń wznosi w ukochanym Lwowie, w dzielnicy robotniczej, pod wezwaniem św. Elżbiety (przepiękne dzieło architekta Tabowskiego), która iglicą swej gotyckiej wieżycy przewyższa dumną cerkiew św. Jura.

Ta praca około budowy świątyń i zakładania nowych parafij jest, nietylko troską kapłana o opiekę

nad powierzoną mu owczarnią i jej dusz zbawieniem, ale, zarazem, — świadectwem, że arcybiskup Bilczewski dobrze wiedział, że tam, na tych ziemiach kresowych, Kościół jest ostoją polskości, że parafja jest tym ogniskiem, z którego ludność czerpie z ogniem miłości Bożej, miłość ojczyzny.

Oparty o Leonową encyklikę „Rerum novarum“, rozwija arcyb. Biclzewski szeroką działalność katolicko-społeczną. Inicjuje, wykonuje, z własnych funduszów popiera — cały szereg instytucyj, organizacyj, towarzystw filantropijnych i humanitarnych, dalej ludowe czytelnie, kółka rolnicze, kasy oszczędności, ochronki itd. Słowem, pracuje i działa bez przerwy, bez wytchnienia, wymagający wiele od siebie, nieustępliwy gdy chodzi o sprawy Kościoła, o dobro diecezjan.

Przychodzą ciężkie lata wojny światowej. Rosjanie zbliżają się do bram Lwowa. Wszyscy opuszczają miasto arcybiskup Bilczewski pozostaje na stanowisku „ze swoją owczarnią“. I kiedy trwoga opanowała mieszkańców, arcybiskup, od świtu do nocy, objeżdża kościoły, pociesza, pomaga, dodaje otuchy, a z ambony przemawia do swoich wiernych:

— Ukochani moi, moje dzieci! Uspokójcie się — oto jestem z wami i zapewniam, że nikomu nie stanie się nic złego. Ani Boga, ani wiary z serc nikt wam przecie wydrzeć nie zdoła. Bóg łaskaw! Módlmy się o pomyślną dolę, a to za pośrednictwem Matki Przenajświętszej i Królowej, która zdawna mieszka i czuwa nad grodem naszym i krajem!

Broni swoich dzieci wobec wojsk okupacyjnych, niejedną mieć musi ciężką przeprawę z ówczesnym gubernatorem Bobrinskim — ale, z każdej wychodzi zwycięsko.

Gdy do Lwowa, w 1915 roku, wracają władze austryjackie, arcybiskup — mimo trudności czynionych mu przez rozmaite „Kastelle“, gdzie był zapisany jako politycznie „podejrzany“, arcybiskup Bilczewski oddaje się pracy ofiarnej niesienia pomocy, nietylko duchowej, ale i materjalnej, wspomaga nędzę, pociesza strapionych, ratuje z więzień, otacza opieką księży unickich, posądzonych o moskalofilizm. W tej pracy podobny jest do Piusa X, który wszystkie swe dochody rozdziela między biednych, w każdej porze dnia i nocy idzie z pomocą duchową.

Kiedy, wreszcie, nad miastem zawisła chmura, która wywołała tę straszną burzę ukraińskiej nawały — arcybiskup Bilczewski trwa nadal, niewzruszenie, na swoim trudnym, ale zaszczytnym, posterunku. Czyni wszystko co może i podejmuje się medjatorstwa między walczącemi stronami.

Drżącą ręką kreśli list do metropolity Szeptyckiego i w imię Boga wzywa go do pośrednictwa w zaprzestaniu krwi przelewu. Tą chrześcijańską miłością kreślone słowa nie znalazły innej odpowiedzi, jak lakoniczna: „Zostawmy to Sercu Jezusowemu“!

U schyłku swego życia, które przedwcześnie zgasło, mimo jeszcze jednej próby — grozy bolszewickiego najazdu, doczekał się arcybiskup Bilczewski wreszcie radosnej chwili — uznania nierozdzielności polskich kresów.

Kiedy w 1923 r. rozeszła wieść po Lwowie i Polsce całej, że przestało bić wielkie serce, gorejące miłością Boga i Ojczyzny, że zamknął swe znużone powieki arcyb. Bilczewski na zawsze, żal powszechny ogarnął wszystkich, a zwłaszczt tych z jego diecezjan, te rzesze niezliczone, które poprowadził do Boga, którym w ciężkich chwilach życia był otuchą i pociechą, którym — przez ćwierć wieku niemal — przewodził.

Rozumieli wówczas, że stolicą arcybiskupią we Lwowie opuścił na wieki mąż Boży, w całem słowa tego znaczeniu, pasterz, przewidujący i czujny, człowiek niezwykłego serca, polityk znakomity, któremu powierzono bardzo trudne i odpowiedzialne stanowisko, na którem okazał się niezłomnym księciem św. Kościoła, najlepszym synem Ojczyzny, przepojonym szczerą jej miłością i duchem prawdziwie obywatelskim.

Słusznie powiedziano o arcyb. Bilczewskim, że „był kierownikiem życia moralnego w Małopolsce Wschodniej, podnosił jego poziom, a z tem jednocześnie i miłość Ojczyzny, uczucie obowiązku wobec Polski i solidarność narodową“, że był „wielkim duchem, zasłużonym i świętym człowiekiem, który był kuźnią duchową i myślą i krwią serdeczną dla kilku miljonów przez ćwierć wieku“.

Pomnik, wzniesiony w lwowskiej bazylice przez wdzięcznych diecezjan, będzie świadectwem miłości tych, co go znali, co mieli sposobność przypatrywać się pracy jego i jej owocom. Ale, to nie wystarcza, aby arcyb. Bilczewskiego i dzieje jego żywota — tak pięknie zapisane na kartach dziejów Kościoła polskiego i Ziemi Czerwieńskiej — winny być utrwalone w pamięci przyszłych pokoleń naszego narodu i zapisane w księdze „dobrze zasłużonych“.

A. O.



Kościół św. Elżbiety we Lwowie.

NA CMENTARZU POWĄZKOWSKIM.



Grobowiec Wł. St. Reymonta.



Grobowiec Pięciu poległych.



Grobowiec Bolesława Prusa.

NA TAMTYM BRZEGU...

„Śmierć w pobliżu, — a w oddali
Gdzieś na wieków późnej fali
„Zmartwychwstanie".
Zygm. Krasiński.

Na tamtym brzegu są nasi umarli,
Lecz nie na brzegu rzeki zapomnienia,
Myśmy ich prochy w grobowcach zawarli,
A chociaż wszystko na świecie się zmienia,
Oni są jednak tak często w pamięci,
I dzień swój mają kiedy się ją święci.

Na tamtym brzegu są nasi umarli,
I tam ich szuka i żal i tęsknota,
Wspomina chwile, kiedy przy nas marli,
Płytami wstrząsa i puka we wrota,
Wołając: gdzie wy, — w niepewności błądzę!...
Jednak niezłomne są śmierci wrzeciądze.

Na tamtym brzegu są nasi umarli,
Lecz jest coś przecie, co nas z nimi łączy...
Jakby cieniuchną siatkę rozpostarli,
Nakształt roślinnych, wiecznotrwałych pnączy,
Czuje się ciągle, że oni są blisko...
Wszechświat — i żywych i duchów siedlisko.

Na tamtym brzegu są nasi umarli,
Tłum coraz większy na brzeg ten przechodzi,
Poganie mówią: do kresu dotarli,
A Grecy: wsiedli do Charona łodzi,
Lecz oni tylko w przejściowym są stanie,
Dla nas, — wierzących w „ciała zmartwychwstanie".

M. v. W. Sendlerowa.



W wieczór listopadowy.

Z WIEDZY, LITERATURY I SZTUKI

Ś. P. WŁODZ. PERZYŃSKI.

Literatura polska dotkniętą została ciężką stratą. W miesiącu październiku r. b., zmarł w Warszawie, po krótkiej chorobie, w 53-cim roku życia ś. p. Włodzimierz Perzyński, powieściopisarz i komedjopisarz. Zostawił on znaczny dorobek literacki (około 30 tomów), był świetnym stylistą i rasowo polskim twórcą. Z jego sztuk teatralnych głośnemi są: „Lekkomyślna Siostra", „Aszantka", „Polityka". — Z powieści zaś „Nie było nas był las", „Raz w życiu" i „Michalik z PPS". Ceniony jest również zbiorek jego poezji, wydany w Krakowie w okresie rozkwitu „Młodej Polski".

Zarzucano Perzyńskiemu, że jego twórczość jest pracą zimnego obserwatora życia i nie zawiera w sobie drogowskazów ideowych. Zarzut słuszny, ale pomimo to jego metoda obserwacyjna i talent konstrukcyjny zaważyły poważnie na współczesnym kierunku dramaturgji polskiej.

W dobie okupacji niemieckiej i w pierwszym okresie niepodległości pracował ś. p. Wł. Perzyński na polu publicystyki, dając się poznać jako gorący patrjota i szermierz rzetelnej polskości.

Byłto człowiek o dużej kulturze umysłu a śmierć porwała go nam w dobie pełnego rozkwitu jego talentu.

Lr.

Ś. P. PROF. LUDWIK FINKEL.

We Lwowie zmarł ś. p. prof. Tadeusz Finkel, wybitny historyk polski. Wykładając przez długie lata historję na Uniwersytecie Jana Kazimierza, wykształcił on całe pokolenie historyków polskich, obecnie zajmujących katedry w naszych uniwersytetach. Wielkie zasługi zwłaszcza położył śp. Ludwik Finkel w dziedzinie historji szkolnictwa polskiego. Cennemi są również jego liczne prace, dotyczące stosunków politycznych i kulturalnych w czasach Zygmunta I i Zygmunta Augusta. Najdonioślejszym zaś jego dziełem jest wielotomowa „Bibljografja historji polskiej, owoc długoletniej pracy.

W uznaniu zasług ś. p. Ludwika Finkla dla nauki polskiej, Akademja Umiejętności mianowała go swym członkiem czynnym. To samo uczynił i szereg towarzystw naukowych. Lwów obdarzył go nagrodą naukową im. Szajnachy, a rząd polski — komandorją orderu Polonia Restituta. Żył lat 72. Od 1918 r. był na emeryturze.

INSTYTUT CZY AKADEMJA.

Niedawno grono ludzi, dbałych o rozwój i podniesienie naszej literatury, powołało do życia „Instytut popierania twórczości literackiej". Jako cel i zadanie postawili sobie oni publikacje celniejszych utworów naszej literatury i dzieł naukowych krytyce literackiej poświęconych. Ponieważ „Instytut", jak widzimy, pragnie nawiązać łączność pomiędzy wiedzą i literaturą, więc chcąc poważnie i z pożytkiem działać, postanowił współpracować w porozumieniu z najwyższą dziś w Polsce instytucją naukową, jaką jest Polska Akademja Umiejętności w Krakowie. Jakkolwiek, pomiędzy założycielami „Instytutu" nie znajdujemy nazwisk rozreklamowanych kół literackich, jednak, zdaje się, nazwiska p. Ar. Górskiego, głównego inicjatora, tego, któremu powierzono wydawnictwo pomnikowej publikacji, jaką jest sejmowe wydanie dzieł Mickiewicza, jak również patrona i protektora „Instytutu" p. Stanisława Michalskiego dyrektora funduszu Kultury Narodowej i zasłużonego działacza na polu rozwoju naszej kultury jeszcze w przedwojennych czasach, wystarczają, by ta inicjatywa znalazła uznanie i poparcie i społeczeństwa całego i, przedewszystkiem, naszych kół literackich.

Tymczasem, kiedy wieść się rozeszła o powołaniu do życia „Instytutu", formalnie zakotłowało. Uderzono w wielki dzwon — na alarm! Posypały się napaści, w formie i treści, jak na literatów za mało przyzwoite, na łamach prasy reklamującej — patentowane „sławy" polskiego Parnasu!

Ludzie — z literackiej kapliczki dziwnego nabożeństwa i wzajemnej adoracji, wręcz przestraszyli się, że „Instytut" godzić będzie w projekt przez nich wykoncypowany, projekt... pro domo suo, t. zw. Akademji Liteartury. Przestraszyli się, że ich marzenie i pragnienie doczekaniu, dla siebie i swoich, „zielonych fraków", foteli „nieśmiertelnych" pod „kopułą" polskiej Akademji, mogą się nie ziścić.

Ten epizod z życia naszego ośrodka literatury, jest wymownym przykładem, że i tam nawet zakorzenił się ten nałóg klik i koterji, który nie dopuszcza — nawet w takiej dziedzinie — do racjonalnego rozwoju — życia, a dąży do supremacji jednych, uprzywilejowanych, nad drugimi, nie chcących ulegać komendzie tamtych.

Ale ostatni atak, prowadzony przez tych, co chcieliby zmonopolizować w swoich rykach — wyłącznie prezentowanie polskiej literatury, wykonany był bardzo niezręcznie. Za wiele było tam, nieumiejętnie ukrywanej, trwogi o własnej skóry, za wiele — nie polskiej rasie właściwej — arogancji, za mało umiaru, cech, których należałoby się spodziewać od... ludzi pióra.

Ten atak może odnieść taki skutek, iż przyczyni się (czegoby życzyć należało) do reklamy „Instytutu" i jego poparcia ze strony społeczeństwa.

Kogo tu sprawa bliżej interesuje, tego odsyłam do godnego uwagi artytułu prof. Hryniewieckiego, który pojawił się w „Kurjerze Warszawskim" z dn. 26-go października r. b., a w którym autor przedstawia ustosunkowanie się ludzi wiedzy do inicjatywy założycieli „Instytutu".

A. O.

LAUR POŚMIERTNY.

Książka ś. p. Juljusza Eysmonda z ilustracjami Mackiewicza została obecnie zaliczona przez Kom. Międzynarodowej Współpracy intelektualnej przy Lidze Narodów do szeregu najlepszych utworów z roku 1929. Książkę tę wydała Księgarnia Św. Wojciecha w Poznaniu.

ELEONORA KALKOWSKA.

Literatka niemiecka Eleonora Kalkowska, autorka głośnej sztuki p. t. „Józef", osnutej na tle sprawy niewinnie w Niemczech straconego Polaka Jakubowskiego — otrzymała nagrodę honorową z fundacji im. Kleista, przyznawaną corocznie za najlepsze dzieła dramatyczne niemieckie.

P. Kalkowska jest Polską i podkreśla stale swą narodowość. Była wychowana w Niemczech i wskutek tego łatwiej jej wyrażać swe myśli w języku niemieckim. Obecnie stara się należycie przyswoić sobie polszczyznę i zapowiada, że, tak samo jak Przybyszewski, zacznie pisać po polsku, gdy tylko uda się jej opanować całkowicie polski język literacki.

PODOLA PANI

POWIEŚĆ. (Ciąg dalszy).

— Ognia!

Posypały się gęste strzały. Dziedziniec zadudnił od kopyt końskich.

Jacyś jeźdźcy z okrzykiem: „bij, zabij!“ — wpadli na dziedziniec i z rozpędem wsiedli na karki rabusiów.

Błyskały szable, raz poraz odzywały samopały i pistolety. Pod domem powstała cizba, złożona z szamoczących się ludzi i koni.

Hultaje, którzy w sieniach toczyli walkę z panem Kożuchowskim i jego ludźmi, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, rzucili się do odwrotu, lecz na progu spadały im na łby szable nowych wrogów. Padali jak drzewa cięte toporem.

Klęska hultajska stawała się widoczną. Nie wiedzieli skąd na nich napadnięto, czyja dłoń karząca dosięgła ich tak nagle. Po probie oporu, Zaczęły odzywać się wyjące, ochrypłe głosy:

— Chłopci spasajteś! Ce lityńskij pan!

Był to istotnie oddział kozaków z zamku lityńskiego, którym przewodził pan Jan Korczyński, srogi tępiciel wszelkich zbójeckich band i tałatajstwa kresowego.

Miał wprawdzie pan starosta wysłać swych ludzi, na przetrząsanie okolicznych lasów, dopiero nazajutrz o świcie, lecz doniesiono mu o zmroku, że na północ od Lityna ukazała się jakaś dość liczna zgraja hultajska, która, korzystając z zamętu, wywołanego przez najazd tatarski plądruje dwory i zabiera dobytek chłopski. Było to zjawisko dość zwykłe. Po splondrowaniu okolicy — banda pośpieszyłaby rozproszyć się i zniknąć. Pan Jan dobrze znał się na takich obyczajach hultajskich i wiedział, że trzeba śpieszyć, nie zwlekając ani godziny, by wczas dopaść grasantów. Zresztą, jeżeli Hania — istotnie, jak sądzono, — uszła z rąk Tatarów, łatwo mogła się stać łupem hultajstwa, co mogło mieć dla nieszczęśliwej dziewczyny skutki gorsze nawet od busurmańskiego jasyru.

Zebrał więc pan Korczyński swych kozaków i kilku szlachciców, przebywających na zamku i nie namyślając się długo wyruszył drogą na Kożuchów. Nie trzeba dodawać, iż pan Michał Hornostaj był również przy nim na koniu.

Jechali wśród nocnej ciszy i po godzinie dostrzegli łunę nad Kożuchowem. Nie było wątpliwości, iż tam właśnie gospodarzyli łotrzykowie.

Popędzono więc cwałem...

Ale wróćmy do Hani. Zoczywszy, co się dzieje na dziedzińcu kożuchowskiego dworu, panna Korczyńska, boso, zaledwie włożywszy jakiś kubraczek, wpadła do sąsiedniej izby, gdzie już zgromadziły się wszystkie spłoszone kobiety. Panował tam przestrach i lament. Ciotka Weronika; klęcząc odmawiała litanję. Dziewczęta zaś dworskie kręciły się bezradnie na miejscu, nie wiedząc co czynić. Tymczasem, wśród trzasku wyłamanych okiennic, do wnętrza wdzierać się poczęli napastnicy.

Nie darmo jednak Hania była córką kresowego wilka. Nie darmo pan Jan wdrażał ją, niczem szlacheckie chłopię, w sztukę rycerską. Bystrem okiem, poczęła szukać na ścianach broni. Nie zawiodła się, jak to zwykle w dworach szlacheckich bywało, pod obrazem Matki Boskiej wisiały, dwie skrzyżowane szable, widać zdobyczne i od dawna nie byłe w robocie. Nie czas był jednak na wahania. Wprawną ręką chwyciła jedną z nich — drugą kazała wziąść rosłej dziewce Rusince. I w chwili, gdy jeden z drabów był już połową ciała w oknie i nie spodziewał się ataku ze strony kobiet — podskoczyła z boku i cięła go w głowę. Z dzikim okrzykiem drab runął w ciemność nocną.

Rusinka, chociaż niewprawna, wymachiwała szablą przy drugim oknie, dzielnie broniąc się przed atakującymi. Ciotka Weronika zemdlała. Reszta dziewcząt starała się krzykiem i lamentem odegnać hultajstwo.

Daremnie. Czterech zbójców było już w izbie. Jeden z nich natarł z szablą na Hanię, wołając na towarzyszy.

— Pannu żywjom braty!

Ale zanim wymierzył cios, obliczony na wyłuskanie szabli z ręki dziewczyny — huknął z tyłu, od drzwi wewnętrznych, strzał. Zbój legł martwy do nóg Hani...

Do pokoju wpadli ludzie pana Korczyńskiego.

Pozostali napastnicy, którzy działając od tyłów dworu, nie wiedzieli nic o odsieczy, zaskoczeni z nienacka, poszli teraz do okien, by ratować się ucieczką, lecz dwór otoczyli już kozacy. Łotrzykowie dostali się w łyka...

Po chwili Hania znalazła się w objęciach rozrzewnionego rodzica...

— Matka Boska latyczowska — mnie uratowała — szeptała, tuląc się do ojcowskiej piersi dziewczyna. Ślub jej uczyniłam...

Stary nie pytał jaki ślub. Podnosił ją jak dziecko i badał czy nie jest ranna.

— Bogu dzięki i Pannie Najświętszej — szeptał.

Zjawił się wnet i pan Michał. Twarz mu promieniała radością.

Rzucił się do kolan Hani, ściskając je i całując ręce swej bogdanki.

— Jakie szczęście, jakie szczęście, mówił — żeśmy w czas zdążyli.

Hania chciała położyć dłoń na bujnej czuprynie swego rycerzyka, ale wnet spostrzegła, krwawą strugę płynącą mu z czoła.

— Panie Michale, waćpan ranny?

— Nie wiem, szeptał, — nie wiem. Wiem tylko, że waćpannę zdrową widzę...

Służba tymczasem zaczęła usuwać z izb zabitych i rannych. Chłopi wiejscy zbiegli się do gaszenia pożaru, wznieconego przez łotrzyków.

Pan Jan zaś, po powitaniu z córką, wyszedł na dziedziniec.

— Hej, chłopcy, — zawołał — a iluż w łykach macie?

— Z dziesięciu będzie — odpowiedział Iwaś, — całując pana Korczyńskiego w ręce.

— Wszelki duch Pana Boga chwali. To ty Iwasiu? Skądżeś?

— Jakto skąd? Ta jaż z panienką od Tatarów uciekł.

— Pan Jan uścisnął kudłatą głowę Iwasia i rzekł:

— Nie zapomnę ci tego. Później o tem pogadamy. Jakiem Korczyński nie zapomnę:

Tymczasem trzeba było zrobić porządek z hultajami. Pan Jan śpieszy się, gdyż miał obawę wtrącenia się do tej sprawy Hani.

— Semenie — ozwał się do setnika kozackiego — jacy to byli ludzie?

— Zwyczajnie duszeguby, panie, dwóch całkiem młodych, reszta to same stare zbóje.

— Były to czasy srogie i bezlitosne. Miłosierdzie nie miało przystępu do serc ludzi, zmuszonych tępić zbrodnię. Padł rozkaz krótki:

— Młodych do zamku! Starsi niech się sami wywieszają! Na tych wierzbach za częstokołem i to zaraz, w trzy pacierze.

Sotnik odszedł. Pan Jan mógł być pewien, że po kwadransie wszelka interwencja Hani będzie już spóźniona...

Rana pana Bożydara, otrzymana w lewę ramię, jak się okazało, była całkiem lekka. Obłożono ją porządnie pajęczyną i obwiązano czystą szmatą.

— Hę, mruczał pan Jan — ze dwie niedziele dolegać ci, sąsiedzie, będzie, ale to furda!

Gorzej natomiast było z panem Michałem. W utarczce na dziedzińcu, cięto go w głowę. Odniósł ranę dość poważną. Nie wiele brakło, by śmierć zajrzała mu w oczy. Na razie, ucieszony odzyskaniem Hani, nie czuł bólu. Upłynęło jednakże sporo krwi i wkrótce osłabł, i runął jak długi...

Zaopiekowano się natychmiast młodym rycerzem. Pan Bożydar osobiście zgolił mu łeb, a panna Weronika, wielce w pielęgnowaniu rannych doświadczona, wraz z Hanią, obwiązały szmatami głowę pana Michała.

(Dok. nast.). *Leon Radziejowski.*

Z PISMIENNICTWA

GENERAŁ WŁADYSŁAW SIKORSKI. Polska i Francja w przeszłości i dobie współczesnej. Lwów Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich 1931. str. 273.

Książka gen. W. Sikorskiego, poświęcona cieniom marszałka Focha jest cenną publikacją w naszej literaturze politycznej. Autor omawia stosunki polsko francuskie od najdawniejszych czasów i następnie ujmuje rzeczowo dzieje obecnego sojuszu polsko-francuskiego i podnosi jego znaczenie dla obu narodów. Podkreślając błędy dawniejsze — pragnie gen. Sikorski, by Francja (książka ta wyszła jednocześnie i w języku francuskim) we własnym interenie unikała wahań w stosunku do Polski, naturalnej swej sojuszniczki.

Gen. Sikorski, korzystając z materjałów jemu tylko dostępnych, podaje dużo ciekawych szczegółów z historji Locarna i wogóle posunięć dyplomatycznych, dotyczących Polski i jej stosunków z Francją.

W uzupełnieniach gen. W. Sikorski przytacza oświadczenie i mowy marszałka Focha, o Polsce i w sprawie Polski — oraz dane ilustrujące obecny stan zbrojeń niemieckich i sowieckich.

WANDA MIŁASZEWSKA. Cmentarz i Sad. Powieść. Wydanie drugie. Nakład. Księgarni św. Wojciecha. Poznań. str. 446.

„Cmentarz i Sad" — jest jedną z najpiękniejszych powieści polskich, napisanych w dobie powojennej. Na tle dziejów serca młodego ziemianina Jerzego Darnowskiego, bohatera wojny światowej i walk z najazdem bolszewickim — przesuwa autorka przed oczyma czytelnika obrazy polskiej wsi w dobie klęski wojennej i odbudowy ze zgliszcz i rumowisk. Podkreśla też rolę kulturalną polskiego dworu i zadania inteligencji wśród chłopów. Postać Olesi Górskiej jest ideałem polskiego dziewczęcia, symbolem najszlachetniejszych z warstwy społecznej, schodzącej już z pola, a wiernej tradycjom, służenia Bogu i krajowi.

Powieść napisana jest z dużym artyzmem. Zaciekawia czytelnika swą fabułą, a jest ze swego ducha nawskróś polską i hołdującą ideałom katolickim.

ARTUR ŚLIWIŃSKI. Powstanie Listopadowe. Wyd. IV Wyd. M. Arcta. 1930. Cena zł. 7.50 (w opr. zł. 10.50).

Książka Artura Śliwińskiego, napisana piękną polszczyzną, obejmuje całą historję Powstania Listopadowego, poprzedzoną krótkiem streszczeniem dziejów Królestwa Kongresowego. Wartość tej monografji jest duża a zaleca ją dokładność w ujęciu tematu i barwny, żywy tok opowiadania. Szata zewnętrzna książki, ilustrowanej portretami działaczy powstania — jest bardzo dodatnia.

EWA BIAŁYNIA. Powstanie Listopadowe. Wyd. V. Wyd. M. Arcta w Warszawie 1930. Cena zł. 2. (w opr. zł. 3).

Książka Ewy Białyni przeznaczona jest dla młodych czytelników. W żywem opowiadaniu podaje autorka w sposób wyczerpujący cały przebieg tej tragedji narodowej, której na imię: Rok 1831. Zaleca książkę również mocno zaznaczony pierwiastek patrjotyczny, uczący młodzież cenić wysoko ofiarę krwi i czyny bohaterskie przodków przy jednoczesnem unikaniu ich błędów. Strona zewnętrzna broszury bardzo staranna.

KALENDARZ KRÓLOWEJ APOSTOŁÓW na Rok Pański 1931. Rocznik dziesiąty. Warszawa. Wydawnictwo Księży Pallotynów, str. 124. Cena 1 zł.

Kalendarz Królowej Apostołów ma już ustaloną dobrą markę. Obecny rocznik odznacza się bogactwem różnorodnej treści informacyjnej, literackiej i popularno-naukowej i jest obficie ilustrowany. Powinien więc znaleźć się w każdym domu katolickim. Dochód z kalendarza ks. ks. Pallotyni przeznaczają na cele swego stowarzyszenia, wśród których w Polsce pierwsze miejsce zajmuje rozpowszechnianie pism i książek katolickich.

KALENDARZ KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ. Na Rok Pański 1931. Rocznik siódmy. Wyd. i druk. Zakładu Wychowawczego Tow. Św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowem.

Kalendarz Tow. Św. Michała (inaczej ks. ks. Michalitów) poświęcony jest 100-ej rocznicy Powstania Listopadowego i zawiera cenne artykuły ks. P. Niezgody, ks. J. Góreckiego, M. Bruchnalskiej, St. Wasylewskiego, Z. Kossak-Szczuckiej i in., oraz przepiękną Litanję do Matki Boskiej, przedwcześnie zmarłego ś. p. Juljusza Eysmonda i śliczną „Modlitwę" Henryka Zbierzkowskiego.

Kalendarz zdobią liczne ilustracje — reprodukcje obrazów historycznych J. Rosena, St. Bagieńskiego, Willewskiego i in., oraz portrety bohaterów 1831 r. Całość jest pociągająca estetyczna.

KALENDARZ JASNOGÓRSKI. Na Rok Pański 1931. Nakładem „Niedzieli". (wyd. tygodnika katol. diecezji częstochowskiej). Kalendarz ten bogatej treści, m. in. popularyzuje ideę akcji katolickiej. Zawiera też szereg pożytecznych dla mieszkańców wsi wiadomości z dziedziny rolnictwa i ogrodnictwa.



Na falach czasu

Przebiagając okiem wypadki, rozgrywające się w różnych krajach, można nieraz zaobserwować coś jakby w rodzaju epidemicznej choroby: w krótkich odstępach czasu jesteśmy w rozmaitych państwach świadkami przemian zupełnie analogicznych. Tego rodzaju nagminna choroba nawiedziła w ostatnim czasie południową Amerykę, a polega ona na rewolucjach, w których po długim okresie dyktatorskich rządów prezydenta republiki niezadowolona ludność podnosi otwarty bunt, a przyłączenie się wojska przechyla szalę na korzyść rewolucji. Taki przewrót przeżyła w sierpniu Peru, zaraz po niem Argentyna, w październiku zaś powtórzyło się dosłownie to samo w Brazylji.

Rewolucja brazylijska wybuchła na tle zmiany na urzędzie prezydenta republiki, która miała nastąpić w połowie listopada. Odbyte w marcu wybory przyniosły zwycięstwo kandydatowi dotychczasowego rządu Prestesowi, liberalna jednak opozycja zarzuciła temu wyborowi, że zdobył większość w drodze nielegalnej. Pod wpływem niezadowolenia z opartej na systemie protekcyjnym polityki rządu przy osadzeniu urzędów oraz ciężkiego położenia gospodarczego doszło z początkiem października w jednym ze stanów do zbrojnego powstania, które szybko poczęło się rozszerzać na całe państwo. Rząd brazylijski zwrócił się do Stanów Zjednoczonych z prośbą o sprzedaż samolotów do rzucania bomb, zapomocą których pragnął stłumić powstanie. St. Zjednoczone zrazu kategorycznie odmówiły, później jednak, gdy sytuacja rządu brazylijskiego stawała się coraz cięższa, zgodziły się na udzielenie tej pomocy. Ale to właśnie przyznanie pomocy zagranicy tak do żywa oburzyło patrjotyczne uczucia Brazylijczyków, że wojsko w stolicy Rio de Janeiro odmówiło posłuszeństwa i zmusiło prezydenta Luiza do rezygancji. Tem samem zatryumfowało powstanie i jego przywódca, przepadły w wyborach marcowych kandydat na prezydenta, gen. Vargas.



Dyktator Włoch Benito Mussolini.



Ks. prałat Seipel.

Epidemja europejska jest innego rodzaju. Podłożem jej są trudności rządów parlamentarnych, a objawem — nastroje i zbrojne ruchy o tendencjach mniej lub bardziej zbliżonych do faszyzmu. Oprócz Niemiec, gdzie wyrazem tego ruchu są Hitlerowcy, którzy po wrześniowych wyborach do Reichstagu wyrośli na groźną i nieobliczalną w swych przyszłych posunięciach siłę polityczną, obserwujemy to zjawisko równocześnie w Finlandji i Austrji.

W Finladji, gdzie w lecie marsz kilkudziesięciu tysięcy „lappowców“ na Helsingfors spowodował zmianę rządu i rozwiązanie parlamentu, skoro w nim nie można było przeprowadzić zmiany konstytucji, polegającej na ograniczeniu panoszącej się dotąd zbyt zuchwale agitacji komunistycznej, odbyły się w październiku nowe wybory. Usunęły one zupełnie z widowni politycznej komunistów, którzy przegrali we wszystkich okręgach i nie przeprowadzili ani jednego z posiadanych poprzednio 23 posłów (na ogólną liczbę 200). Zwycięzcami okazali się lappowcy, którzy zdobyli w parlamencie 59 miejsc, ale obok nich wzrośli także w siłę socjaliści, mający obecnie 67 mandatów zamiast poprzednich 60-ciu. Ten obrót rzeczy, jakkolwiek umożliwia już uchwalenie żądanych przez lappowców ustaw antykomunistycznych, widocznie jednak ich nie zadowolił, pojawiły się bowiem projekty ponownego ich marszu na stolicę. Nadto zaś doszło w biały dzień na jednej z ulic Helsingforsu do porwania i wywiezienia samochodem w niewiadomym kierunku byłego prezydenta Finladji dr. Stahlberga, któremu lappowcy zarzucali, że za czasów swego urzędowania zbyt był przychylny dla lewicy. Energicznym zabiegom policji udało się samochód, w którym uprowadzono dr. Stahlberga z żoną, za-

trzymać o 600 kilometrów od Helsingforsu, niedaleko granicy sowieckiej. Największą jednak sensacją było to, że w ciągu śledztwa w sprawie tego porwania, o które oskarżano organizację lappowców „Rygiel Finladji", zaaresztowani zostali jako organizatorzy porwania szef sztabu finladzkiego gen. Walenius oraz kilku wyższych wojskowych. Dowodzi to, w Finlandji silnie rozwijają się prądy, które w krótkim czasie mogą ją doprowadzić do dyktatury w podobnym rodzaju jak i na Litwie.

W Austrji wzmagający się rozwój znaczenia organizacji wojskowej Heimwehry oddziałał silnie na zbliżone do tego ruchu stronnictwo chrześcijańsko - społeczne, które, występując z koalicji rządowej spowodowało upadek kompromisowego rządu kanclerza Schobera, następnie zaś samo objęło ster władzy, rozwiązując parlament, w którym bez poparcia drobnych grup środka nie miało większości, i rozpisując nowe wybory na 9 listop. Szefem nowego rządu austrjackiego został minister Vaugoin, a udział wodza stronnictwa chrześcijańsko-społeczenego b. kanclerza ks. Seipla dodaje mu powagi i siły. Najznamienniejsze jest jednak to, że w nowym gabinecie zasiadło także dwuch ministrów z ramienia Heimwehry. W proklamacji wydanej do swych członków Heimwehra zapewnia, że wszedłszy raz do rządu już władzy z rąk nie wypuści — a więc grozi wyraźnie — perspektywą zamachu stanu. Planowany był i tutaj masowy marsz organizacji heimwehrowskich na Wiedeń, co niewątpliwie doprowadziłoby do starć z socjalistycznym Schutzbundem a bodaj i do wojny domowej. Wobec jednak zakazu wydanego przez rząd do marszu tego nie doszło: cała energja stronnictw skupiła się na razie dookoła wyborów.

Staje do nich i Heimwehra — i to jak obóz zupełnie odrębny, nadto zaś obok dwuch głównych stronnictw austrjackich t. j. chrześcijańsko-społecznych i socjalistów także blok stronnictw środka, zorganizowany przez b. kanclerza Schobera. Tem większym więc znakiem zapytania jest wynik wyborów, a zwłaszcza to, co po nich nastąpi: czy znowu brak większości u obu głównych przeciwników i kompromis, który z powrotem odda kierownictwo rządu w ręce p. Schobera jako „języczka u wagi", czy też zapowiadana przez heimwehrowców dyktatura. Dla całej jednak Europy szczególnie interesująca jest rola, jaką w austrjackiej agitacji wyborczej odgrywa operowanie hasłem „Anschlussu" (połączenia się Austrji z Niemcami).

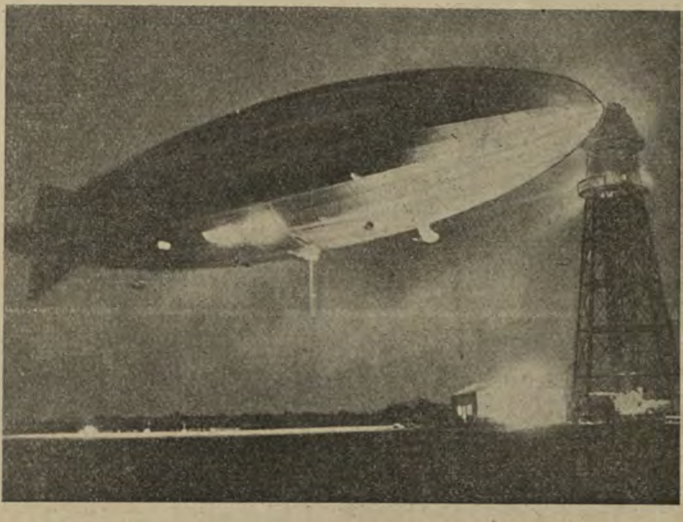


Przewódca nar. socj. niemieckich Hitler.

Coraz głośniej także rozlega się niemieckie natarczywe wołanie o konieczności rewizji granic z Polską. Propaganda berlińska w tym kierunku umie wyzyskiwać, co się tylko da — i tak niedawno wyzyskała rozmowę, jaką miał jeden z dziennikarzy niemieckich z prezydentem Czechosłowacji Masarykiem, wkładając mu w usta słowa, przyznające słuszność pretensjom niemieckim w stosunku do Polski. Okazało się wpawdzie, że oświadczenie p. Masaryka brzmiało zupełnie inaczej i zostało przez dziennikarza niemieckiego przekręcone — niemniej jednak była to jedna z kropel, zapomocą których Niemcy usiłują wyżłobić dziurę w traktacie wersalskim, aby go całkowicie rozłupać. Kropel takich jest zresztą coraz więcej — nawet i we Francji, gdzie świeżo do zwoelnników porozumienia się z Niemcami przyłączył się jeden z wybitnych publicystów, redaktor dziennika „Oevre" p. Hervé. Szczególnie jednak korzystnem dla aspiracji niemieckich jest to, że coraz silniej skłaniają się ku nim Włochy; z końcem października sensację ogólno europejską wywołała mowa, w której Mussolini wypowiedział się jako zwolennik rewizji traktatów.

Ten stan rzeczy jest dla Polski ciemną chmurą, która nam zapowiada bardzo ciężkie przejścia w polityce zagranicznej. Tem większą staje się konieczność uspokojenia i konsolidacji w naszej polityce wewnętrznej. Powszechnem też żądaniem całego kraju jest, aby listopadowe wybory do Sejmu — do których agitacja, i to prowadzona w coraz bardziej gorącym nastroju powszechnym, wypełniła cały ubiegły miesiąc — przyniosły należyte wyjaśnienie się naszych stosunków.

W Niemczech walka polityczna po wyborach przeniosła się z terenu ogólnospołecznego na teren parlamentarny i doprowadziła zaraz po otwarciu Reichstagu do ostrych starć między skrajną lewicą (komunistami) i skrajną prawicą (hitlerowcami). Mimo sojuszu hitlerowców z nacjonalistyczną prawicą prezydentem Izby został większością głosów ponownie obrany socjalista Loebe. Z drugiej jednak strony kanclerz Bruening, skłaniający się dość wyraźnie ku prawicy, zdołał ostać się przed skierowanemi przeciwko niemu wnioskami o votum nieufności.



Sterowiec angielski R. 101.

W ostatnim więc wyniku, wśród dwuch wrogich sobie obozów, z których żaden nie posiada większości, a między któremi coraz bardziej możliwe jest dojście do ostrego starcia, sytuacja wenętrzna Niemiec dość jest niewyraźna i jedynem z niej wyjściem rządzenie — jak to czyni p. Bruening — przy najmniejszym stosunkowo udziale parlamentu.

Aby skończyć z polityką wspomnię jeszcze o przesileniu rządowem w Rumunji, gdzie ustąpił premjer Maniu z powodu coraz silniejszych różnic w poglądach między nim a królem Karolem — w szczególności na sprawę koronacji, w której b. premjer nalegał bezskutecznie na króla, aby dał się koronować równocześnie ze swą żoną ks. Heleną (z którą ciągle jeszcze nie doszło do pogodzenia się). Szefem nowego rządu został b. minister spraw zagranicznych Mironescu, należący do tegoż stronnictwa narodowo chłopskiego co i Maniu. Dowodzi to, że król Karol, respektując konstytucję, pragnie nadal rządzić przy pomocy parlamentu i stronnictwa, wyrażającego jego bezwzględną większość.

A tymczasem wróg od wschodu nie śpi. Sensację, która głośnem echem odbiła się po całej Europie, stanowiło wykrycie w Rumunji olbrzymiej afery szpiegowskiej na rzecz Sowietów, która swemi rozmiarami przewyższa wszystkie tego rodzaju sprawy z czasów powojennych. Energji jednak władz rumuńskich udało się całą, niezwykle sprytnie i szeroko rozgałęzioną sieć szpiegowską wykryć i jej uczestników (w ilości ponad 100 osób) aresztować.

Obok doniosłych wydarzeń politycznych październik przyniósł także kilka katastrof, które przejęły głęboko całą Europę. Całą Anglję okryła żałobą katastrofa sterowca „R. 101" tego samego, który w lecie odbył tak tryumfalny przelot do Ameryki: w czasie lotu z Londynu do Indji, który miał zainaugurować stałą na tej linji komunikację powietrzną, sterowiec w chwili przelotu nad Francją uległ w nocy katastrofie, a z 55 osób załogi i pasażerów ocalało tylko parę osób, reszta poniosła śmierć — w tej liczbie angielski minister lotnictwa oraz szef lotnictwa cywilnego Komunikacja powietrzna jest ciągle jeszcze tą dziedziną, w której ludzkość swój pęd ku postępowi okupuje nieustannemi ciężkiemi ofiarami...

Nie jest jednak wolne od nich i zwyczajne życie powszednie. Mimo wszelkie postępy techniki górnik zjeżdżający do szybu nigdy nie wie, czy żywym na górę powróci. Niemcy dotknięte zostały w ubiegłym miesiącu aż dwiema tego rodzaju katastrofami. W Alsdorfie w zagłębiu Ruhry skutkiem wybuchu dynamitu i wywołanych tem gazów trujących postradało życie 250 górników (w tem spora ilość pracujących



Ś. p. Lord Tompson, angielski minister lotnictwa.

tam Polaków) a 100 odniosło ciężkie rany. Była to nastraszliwsza z katastrof, jakie przeżywno w tem zagłębiu, a pogrzeb ofiar katastrofy, w którym wzięło udział 150 000 osób, przywyższał swoim tragizmem, wszystko, co dotąd w górnictwie przeżywano. Bezpośrednio potem doszło do drugiej podobnej katastrofy — na szczęście mniejszych już rozmiarów — w kopalni Maybach nad Saarą.

Polska święciła w miesięcu ubiegłym 25-lecie walki o szkołę polską w zaborze rosyjskim. Uczestnicy ówczesnego strajku szkolnego, którzy będąc w r. 1905 jeszcze dziećmi, jakby w przeczuciu bliskiej już wolności potrafili zdobyć się na zbiorowy czyn, zrywając ze szkołą rosyjską, która wynaradawiała nam młodzież i paczyła charaktery — postanowili w uczczeniu drogiej dla siebie rocznicy zorganizować wydatniejszą niż dotąd opiekę Polski nad szkolnictwem polskiem, na obczyźnie. Oby ta akcja nie była tylko gestem uczynionym dla uczczenia uroczystości, a później mającym po sobie pozostawić tylko popiół słomianego ognia! Sprawa naszego szkolnictwa na obczyźnie, gdzie przebywa trzecia część całego narodu poolskiego, jest dotąd dziedziną niezmiernie zaniedbaną i nie doznaje należytego poparcia ze strony społeczeństwa Może wspomnienie tego, cośmy sami przechodzili przed ćwiercią stulecia, wzmoże w nas zbiorową energję dla stałej i wydatnej pomocy na rzecz rodaków, którzy i dziś jeszcze pozbawieni są nietylko ojczyzny ale i własnej szkoły i ciężko muszą na każdym kroku walczyć o zachowanie mowy i wiary ojców.

M G.



Miejsce katastrofy sterowca R 101.

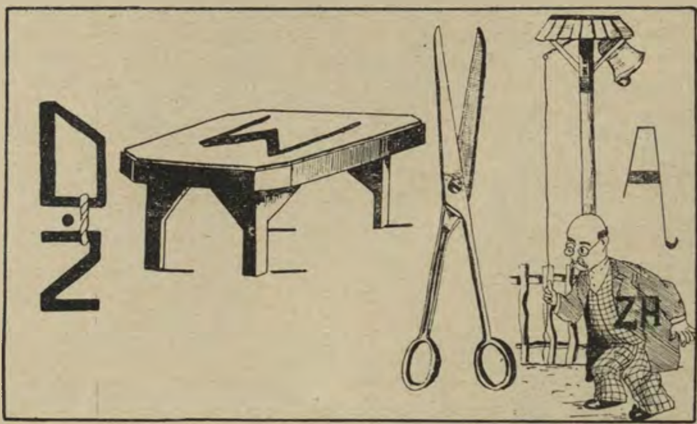
KĄCIK ROZRYWKOWY

pod kierownictwem Klubu Szaradzistów.

REBUS.

Ul. Z. Tietz, rys. J. Stratilato.

Za rozwiązanie 2 punkty.



Rozwiązać rebus — którego treścią jest przysłowie.

SZARADA.

Na Dzień Zaduszny.

Za rozwiązanie 3 punkty.

Cztery - trzynaste człowiek jednak żyje?
Nie jeden stawia otwarcie pytanie.
Jaka zagadka w tem życiu się kryje
I jakie trzeba spełnić nam zadanie?

Więc jeden w każdym *piątym - pierwszym,* dziele
Swą religijność ma do okazania,
Zawsze go można zobaczyć w kościele
Słuchającego nabożnie kazania.

I lepszej, jasnej *trzy wspak - osiemnaście*
Stale z ufnością taki oczekuje,
I modli się i *dziewięć - siedemnaście*
Ściśle jak Kościół wiernym nakazuje.

Lecz że ta wiara jest bez ugruntowania
Przez głębię odczuć, oraz rozum własny,
Więc z czasem idą gorzkie narzekania,
Świat śię wydaje ponury i ciasny...

Temu nie *dziewięć - siódme* chorej duszy
Prawdy ogólne, w jakie wierzył święcie,
Bo wierząc, błądził jednak w życia głuszy,
Lub był jak żeglarz na pustym okręcie.

Na wód bezmiarach, bez steru, busoli
I bez nadziei ujrzenia przystani.
Więc też w rozpaczy umiera powoli,
Bojąc się strasznie bezdennej otchłani,

Która go falą wciąż *sześć - osiemnaście*
Niby taranem — mocno, bezlitośnie.
Ze strachu człowiek się *dziewięć - dwanaście*
I tylko szlocha i jęczy żałośnie.

— Gdzież owa przystań upragniona leży,
Gdzie *cztery - dziesięć i jedenastego*
Oraz wytchnienia szukać nam należy,
Gdzie szukać ciszy, szczęścia prawdziwego?

— Szczęście w *czternastych* samych wciąż przebywa,
Tam swe obrało na stałe mieszkanie,
Tam się w zaciszu spokojnie ukrywa.
Lecz co jest szczęściem? Postawmy pytanie?

Może bogactwo, może szał miłości,
Albo zabawy, hołdy i pokłony?
Wszystko to tylko światowe próżności,
Błogosławieństwem — rozum ukształcony.

Pietnasty - ósmy oraz wspak trzynasty
Rozumu tego — to myśli potęga,
Co precz odrzuca wszelkie życia chwasty
I wielka, wolna w nieskończoność sięga.

Dla niego piękna otwarte są światy,
Gdy zaś mu ranę złośliwie ktoś zada,
Dziewiąte - pierwsze i drugie prywaty
Swojej dochodzić. — Tak sobie powiada.

Trzy i szesnaście - siedemnaście winy
Każdemu chętnie taka myśl człowieka,
Bo w szelka krzywda — słabości przyczyny
Od szlachetnego rozumu ucieka.

Tadeusz Wydmuch,

LOGOGRYF AKTUALNY

Za rozwiązanie 3 punkty.

Zgłoski: ba bo, do, don, ki, ko, la, le, ła, mu, na, na, no, no, po, po, po, ry, sej, so, ta, wa, we, wy, — należy wpisać po jednej w każdą kratkę, tak aby utworzyły osiem wyrazów czytanych poziomo. Wyrazy należy wpisać w takim porządku, aby rząd środkowy czytany z góry do dółu, dał rozwiązanie.





Znaczenie wyrazów: Kraj w Polsce. Nazwa dnia. Samorząd gminny. Krótki utwór belletrystyczny. Starogrecki bóg morza. Śnieg świeżo spadły. Nałogi.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z № 8 R. P.

Przekładanka. „Ejsmond poeta ojczystej przyrody".
Szarada. „Matczyna kołysanka".
Szarada dla młodzieży. „Poznawajcie dzieje ojczyste".

TRAFNE ROZWIĄZANIA NADESŁALI P.P.:

J. Bałachowa, Lwów. K. Barylina, Włodawa. H. Braumanowa, Kraków. H. Chmielewska, Białystok. K. Denasiewicz, Drohobycz. L. Glaszmit, Warszawa. E. Jarmulski, i S. Jarmulski, Modlin. J. Kołakowski, J. Kowalska, M. Liwska ,A. Ławruszonis, St. Ławruszonis, S. Mikowska, S. Płóciennik, Warszawa. Inż. J. Modrzejewski, Lublin. H. Mokrzycka, Drohobycz. D-rowa H. Opielińska, Środa. M. Sławnicki, Łuniniec. T. Sławnicki, Białystok. Fr. Wiśniewski, R. Żak, Warszawa.

Tylko szaradę dla młodzieży rozwiązali:

Joasia Modrzejewska, Lublin. Antoś Mikowski, Warsza-
Joasia Modrzejewska, Lublin. Antoś Mikowski, Warszawa.

Nagrody miesięczne w drodze losowania otrzymują:

M. Sławnicki, Łuniniec. Książkę p. t. „Mexicana" — Józefa Watra - Przewłockiego. L. Glaszmit, Warszawa. Książkę p. t. „Z pałacu do przytułku" — Jana Reytana. A. Mikowski, Warszawa. Książkę p. t. „Coraz wyżej" — Hr. J. du Plessis.

Po nagrody należy zwracać się do Administracji R. P. — Warszawa — Krakowskie Przedmieście № 71 I p.

W numerze 9-ym R. P. zakończyliśmy konkurs kwartalny. Od n-ru 10-go rozpoczął się konkurs następny. Spis osób nagrodzonych za rozwiązania zadań w ubiegłym kwartale, ukaże się w Nr. 12-ym R. P.



DLA DUSZY.

Ach niebaczny! Dla czego myślisz, że będziesz żyć wiecznie, kiedy ani jednego dnia pewnego nie masz?

O! jak wielu zawiodło się na tem, jak wielu śmierć niespodzianie wyrwała!

Ileż to razy słyszałeś, że ten zginął od miecza, ten utonął, ten z góry spadłszy zabił się, ten wśród biesiady, ten wśród gry skonał.

Jeden od ognia, drugi od żelaza, ten od powietrza, tamten od zbójców zginął: i tak, śmierć jest końcem każdego człowieka, a dni jego jako cień przemijają.

„O naśladowaniu Chrystusa“ *Tomasz à Kempis.*

KOBIETA POLSKA W WALCE O OJCZYZNĘ

Co się działo w Polsce w latach 1830 — 31, to znaczy w latach wybuchu powstania i jak zachowała się w tej epoce kobieta polska?

W całej Polsce — panuje ucisk, terror, prześladowanie.

W Warszawie w. ks. Konstanty daje folgę swej zwierzęcej naturze, hula despotycznie i brutalnie.

W Wilnie, gnębią młodzież, skupioną w patrjotycznem stowarzyszeniu filaretów. Wyławiają dzielniejszych i wywożą na Sybir. Wprowadzają Moskali na rektorskie godności Uniwersytetu.

Ze Lwowa młodzi poeci piszą rozpaczne rymy. Romanowski woła: Orły, sokoły, dajcie mi skrzydła — pragnie lecieć w niebiosy, żeby tam skarżyć się Panu na ból i cierpienia.

Z Paryża, na orlich skrzydłach leci do kraju *„Oda do młodości“*, która chce ruszać w posadach bryłę świata,byle ratować ojczyznę.

A car moskiewski na Zamku Warszawskim urządza parodję koronacji na „króla polskiego“.

W. ks. Konstanty przykuwa do armaty Łukasińskiego, aby go rzucić w lochy Petropawłowskiej twierdzy w Petersburgu — na wieki.

Młodzież mówi: dość poniewierki!

W Rządzie Narodowym zasiadają tacy ludzie, jak Zamoyski, Czartoryski, Radziwiłł, Lubomirski, Mycielski, Lelewel, Mochnacki, Niemcewicz.

W armji są imiona jenerałów: Chłopickiego, Skrzyneckiego, Prądzyńskiego, Dwernickiego, oraz młodego zapaleńca Wysockiego.

Są w skarbie pieniądze. Jest ofiarność ogólna. żołnierz sprawny, wyćwiczony przez Konstantego. Jest zapał, są ludzie, nie ma wodza.

Po bohaterskich wysiłkach i zmaganiach z rosyjską armją, powstanie — pada.

Kraj zostaje w gruzach, we krwi, w żałobie.

Dwory pustoszeją. Domy cichną. Mężów i synów niema. Ale jest w nich:

Kobieta polska.

W czasie walk jedne chwytają za oręż. Zofja Kodrębska, Prószyńska wiodą pułki lub zaciągają się do szeregów powstańczych... Inne kopią szańce setkami stawając do pracy. Jeszcze inne rozsypane po szpitalach opatrują i koją cierpienia rannych. Wśród kobiet Warszawy duch patrjotyzmu był podniesiony do najwyższego zaparcia się i ofiary.

Oddziałek stu włościanek stawił się z łopatami w ręku na fortach Pragi.

Ktoś widzi staruszkę, czcigodną panią Zalewską, która na Starym Mieście idzie i prowadzi dwie młode wnuczki, aby niosły pomoc robotnikom znoszącym ciężary na szańce Pragi.

Dwie piękne krakowianki: Dębicka i Dembińska służą w II oddziale kawalerji Krakusów i odznaczają się walecznością. Królewianka panna Zaborowska, rzuca się między żołnierzy, zagrzewa ich do walki, zaklina do obrony i ratuje przed napadem ks. Wirtemberskiego — Puławy. Emilja Plater, ta sławna, wypieszczona w dostatku panienka, dosiada konia formuje pułk, stacza boje z kozakami. Każdy krok cofania wróg opłaca wielkimi ofiarami. Po potyczce pod Szawlami generał Giełgud otrzymuje raport, że „kapitan Emilja Plater dała dowody wielkiej odwagi i zimnej krwi“. A kiedy walka się kończy, ona w chłopskiem ubraniu z Marją Raszanowiczówną przedziera się lasami, bo chce w Warszawie jeszcze walczyć. Ale rany w nogach odbierają jej siły, dociera tylko do znajomego dworu i tam kończy bohaterskie życie, uścisnąwszy przed skonem swą broń umiłowaną.

Po uciszeniu walk przychodzi apatja. Martwota. Bezwład. Masowa emigracja.

Czy ulega i poddaje się rozpaczy cały naród?

Nie. Na straży utrzymania ducha w umęczonym narodzie, ta sama kobieta, która opłakała stratę ojca, męża, brata, narzeczonego, ta sama nawet, która swój mundur wojskowy krwią znaczyła a broń złożyć musiała, choć serce rwało się w strzępy wszystkiemi bólami, ta kobieta wyprostowała się, zebrała siły, i stanęła

do nowej, długiej walki z wrogiem — pewna jednak swego kiedyś zwycięstwa.

Dziś, czcimy w sto lat, bohaterskie wysiłki narodu w obronie ojczyzny i dumne być możemy, że wśród licznych ich szeregów nie zabrakło imion kobiecych, których setki i setki mogłyby notować kroniki. Nie zabraknie ich nigdy wtedy, kiedy kraj w potrzebie i kiedy konieczna ich czujna, tkliwa opieka nad wszystkiem, co stanowi o Jego potędze.

L. Kotarbińska.

SŁONECZNE DROGI

Jakież to drogi?

To drogi, któremi kroczy myśl, serce, dusza, cała istota matki, koło wychowania umiłowanego „synka".

Jemu w darze składa swą małą książeczkę, w której jest wielki hart, wielka wola, wielka siła charakteru i wielkie serce kobiety, chcącej to wszystko co zdobyła — oddać „chłopcu".

Czy drogi, po których stąpa dla osiągnięcia tego są lekkie, równe, łatwe do zdobycia — bez troski?

Są „słoneczne". Oto cała odpowiedź na wysiłki pracy, na samodzielne zdobywanie środków egzystencji, na trud, na znój.

Są „słoneczne", bo prowadzą do „synka", do zrobienia z niego człowieka, jakiego w zrozumieniu inteligentnej, dzielnej, uczciwej i dobrej kobiety — Polsce potrzeba.

Kocha dziecko po nad wyraz, ale ileż w tem uczuciu stoicyzmu, ile niezłomnego postanowienia, jakie zaparcie się egoizmów, ile rozumu.

„Na niedołęgę go nie chowam, więc niech wsiada na koń". I Krzyś, mając pięć lat siadł oklepem na konia. Nic też dziwnego, że mając dziesięć, siedzi w siodle murem, a z koniem jest jak zrośnięty. Tęgi chłopak.

Więc też: koń — to koń, jedziemy razem. Rower — to rower, znów razem. Narty, saneczki, górskie wycieczki, łódź, tratwa, wóz czy samochód — wszystko jedno, byle *razem*, byle myśl z myślą, byle nią wyprzedzić dziecka dobre żądanie, byle czujnością odwrócić co szkodę przynieść może, byle nie zaćmić mu słonecznej drogi, która nawet w późną noc, przy biurku, dla matki jest promienna, bo tą pracą zdobywa egzystencję, bo ona daje jej możność kształcenia „chłopca", otoczenia go warunkami, które i moralnie i fizycznie stworzą piękny rozwój jego istoty.

Przyjacielski stosunek, jaki stworzyła matka ze swych „chłopcem", to ten pancerz który uchroni dziecko od wielu nietylko trudów, ale zmagań się i bólów duszy. Ten węzeł, jaki się zawiąże od pierwszych dni między nią a synem, to ostoja, to oparcie na ten dzień, który przepowiada w swej cudnej liryce, wielki poeta, Adam Asnyk, ostrzegając w „Echu kołyski", że „przyjdzie inny dzień" po uroczych snach dzieciństwa.

Nieuchronne dla każdego życia chwile, zwątpienia, zachwiania, czasem jak uderzenia gromu, który z równowagi wytrąci, nie obalą, nie złamią, nie zniweczą, kiedy się wspomni „na matkę, na miłość co bez plam", i w jej przyjacielskim stosunku, wypowie się — lub wymilczy duszy ciężary.

„Słoneczne drogi", to niezwykła książka, napisana przez znaną i już dziś, choć młodą, ale zasłużoną na polu publicystyki autorkę p. Zofję Zaleską, cenną nasza współpracowniczkę. Książka starannie wydana, obficie ilustrowana, jest jedną z wydawnictw *Bibljoteki Rodziny Polskiej*. Powinna być czytana prze każdą matkę, bo każda znajdzie w niej, bez żadnych morałów, ani narzucania pedagogicznych nakazów, tyle zajmującej treści, tyle wyczucia w stosunku do dziecka, tyle barwnie i z prostotą poruszanych strun bez egzaltacji, a dźwięczących prawdą, że zawsze tylko wdzięczność wzbudzi dla autorki. Zaczyna się ją czytać z radością, kończy z żalem, — że już ostatnia kartka, tych „słonecznych dróg", po których p. Zaleska prowadząc nas, usuwa szarzyznę życia. Każdy dzień czyni młodym, barwnym, dobrym i choćby z bólem — zawsze błogosławionym.

Nie wyplenia u dziecka poczucia zła. Uczy rozumieć przyczyny. „Niech wie jakie jest życie, by mogło uczynić je pięknem".

L. Kotarbińska.

NASZE MORZE

Każdy, kto się nazywa obywatelem kraju, musi być członkiem „Ligi Morskiej i Rzecznej". Pamiętajmy, że ten skrawek morza, który posiadamy, stanowi o naszem bogactwie, o naszej powadze państwowej, o naszej sile. Potrzebuje jednak naszego współudziału przy zaspakajaniu swych potrzeb. Rozbudowa Gdyni idąca tak szybkim tempem sprowadza już wiele korzyści, będą one istotnie wydatniejsze, jeśli będą ciągle płynęły zasiłki materjalne, na które liczyć może budżet.

Stanie się to, o ile każdy, kto żyje i czuje się Polakiem, złoży małą daninę członkowską i zapisze się na członka „Ligi Morskiej i Rzecznej".

Oddziały rozrzucone są po całej Rzeczypospolitej. Łatwo do nich trafić.

WYCIECZKI NA BOŻE NARODZENIE

Amerykańskie przedstawicielstwo Linji Gdynia — Ameryka, organizuje statkiem „Kościuszko" wycieczkę dla obywateli duńskich i polskich, którzy będą chcieli spędzić święta Bożego Narodzenia w Ojczyźnie. Statek wyruszy z Nowego Jorku dnia 4 grudnia r. b. i z Halifaxu w dn. 6 grudnia b. r. Wycieczki te będą całkowicie zorganizowane i poprowadzone przez urzędników Polskiego Transatlantyckiego Towarzystwa Okrętowego linji Gdynia — Ameryka.

Ileż taka wycieczka radości wprowadzi do rodzin, które przy Wigilji razem z przybyłymi z za oceanu dzielić będą opłatek i starym obyczajem śpiewać: „Bóg się rodzi, Moc truchleje".

JAK SIĘ KOBIETY ORGANIZUJĄ ZAGRANICĄ

Dla wyrobienia sobie sprawiedliwego sądu o sprawach bliskich, nas obchodzących, praktycznie jest porównać nasze stosunki organizacyjne z zagranicznemi.

Słyszy się często narzekania, że tylko u nas jest źle. Gdzieindziej zato — daleko lepiej. Warto więc przyjrzeć się i zrozumieć z czego zło wynika.

Kobietę Polkę często spotyka niesprawiedliwy zarzut, że jest niegospodarna, że nie ma zmysłu organizacyjnego; jest natomiast bierna, wszystko odkłada do jutra, prosząc Boga, aby ją tylko zostawiono w spokoju. Taki jest ogół kobiet!

A to co się wogóle w polskiem społeczeństwie kobiecem dzieje, cały ruch, postęp, nietylko nadążanie, ale pod wieloma względami prześciganie sąsiadek z zachodu — to jedynie zasługa wybitnych jednostek. I tak, jest tylko u nas!

Otóż trzeba stwierdzić, że tak jest wszędzie. Ogół zawsze jest bierny, a o jego wartości dynamicznej decyduje siła intelektualna jednostek stojących u steru.

Polkom tych silnych indywidualności nie brak, nie. Jeśli czem pionierki zachodnio-europejskie nas przelicytowały, to tylko umiejętnością *wysuwania* swej działalności na stanowiska czołowe, oraz umiejętnością *pozyskiwania* tych biernych rzesz kobiecych dla swych celów i swych organizacyj.

I tego działaczki polskie powinny się od swych austryjackich sąsiadek nauczyć.

Niemki są niesłychanie praktyczne. Wiedzą one doskonale, że jeśli chcą pozyskać członkinie do swych związków, to przedewszystkiem muszą je zainteresować *konkretnemi korzyściami materjalnemi*. Oto cała tajemnica potęgi związku gospodarczego kobiet austryjackich — t. zw. „Rohö".

Rohö—jest to skrót skomplikowanej nazwy „Reichsorganisation der Haus frauen Oesterreichs". Związek ten istnieje od lat 20-tu, liczy członkiń 5 tysięcy w samym Wiedniu i z roku na rok staje się potężniejszy. Działalność swą, opartą na podłożu apolitycznym, Rohö rozpościera w szerokiej skali różnorodnych dziedzin. Przyczem związek stoi twardo na gruncie swej specjalności — *niesienia kobiecie pomocy i ułatwień w walce z codziennemi potrzebami jej życia.*

Stąd widać, że Rohö stawia sobie daleko szersze zadania, aniżeli nasze organizacje gospodarcze, gdyż Rohö okres doszukiwania się uproszczeń i udoskonaleń, jedynie w zakresie życia gospodarczego kobiety, ma już dawno poza sobą. Tam do prac i zainteresowań domowych włączona została troska o potrzeby osobiste kobiety gospodyni, a przez nią także i pozostałych członków rodziny.

Warto przyjrzeć się liście zobowiązań, jakie Rohö podejmuje względnie każdej członkini.

Przedewszyskiem każda członkini Rohö jest *ubezpieczona od nieszczęśliwych wypadków.* Dzieje się to w ten sposób, że związek płaci pewnemu towarzystwu asekuracyjnemu w Wiedniu po 50 groszy rocznie od każdej karty członkowskiej. Wszystkie więc członkinie są ubezpieczone do pewnej określonej sumy, a przez nabycie dodatkowej karty członkowskiej (zielonej) moga ubezpieczać najbliższych członków rodziny (dzieci, męża, starych rodziców), będących na utrzymaniu danej członkini

Rohö daje bezpłatną *pomoc lekarską,* uprawnia do korzystania z *pomocy opieki społecznej nad dziećmi i starcami.* Dostarcza gratis swym członkiniom *miesięcznik gospodarski „Die Hausfrau"*, wyjednywa *rabaty* w firmach, organizuje każdej jesieni *tanią dostawę opału.* Nie koniec na tem. Rohö udziela członkiniom *porad prawnych i zawodowych.* Legitymacja członkowska uprawnia do korzystania w miejscowościach letniskowych i kąpielowych ze zniżek, uzyskanych przez Zarząd Rohö.

Rohö przytem prowadzi wielkie imprezy dochodowe na wielką skalę. Są niemi: *wypożyczalnia bielizny* stołowej i pościelowej, *pralnia „Habsburg"*, gdzie po niebywale niskich cenach pierze członkiniom bieliznę, a zupełnie biedne mogą same przyjść sobie i uprać, opłacając minimalną sumę za możność posiłkowania się technicznemi urządzeniami pralni. Wreszcie trzecią imprezą Rohö są szeregi *kursów zawodowych,* modniarskich, krawieckich, bieliźniarskich, fryzjerskich, kosmetycznych i t. p. Z kursów tych korzystać można dowolnie, według potrzeb osoby zainteresowanej. To znaczy, że ktoś, pragnący wykształcić się zawodowo, może skończyć kurs całkowity i otrzymać patent. Jednocześnie jednak wykładowcy na poszczególnych kursach organizują *akcję samopomocy.*

Udzielają oni wskazówek poszczególnym członkiniom Rohö jednorazowo. Np. pani chce sobie sprawić nową suknię lub kapelusz. Nabywanie tych rzeczy w sklepie jest dla niej zbyt kosztowne. Kupuje więc materjał na suknię lub filc, czy słomę na kapelusz, idzie do Rohö i tam na kursie korzystać może z wskazówek i pomocy fachowej specjalisty, pod którego nadzorem wykonywa swą pracę. W ten sposób bardzo tanio i praktycznie wiedenki ubierają siebie i swoje dzieci.

Nic więc dziwngo, że Rohö liczy członkinie swe na tysiące, gdy z należenia do związku wyciągają one tak kolosalne korzyści materjalne i gospodarcze udogodnienia.

Zaznaczyć należy, że i o stronę życia intelektualną oraz estetyczno-higjeniczną swych członkiń Rohö wykazuje zainteresowanie. Organizuje *Bibliotekę-wypożyczalnię książek,* ulgowe komplety tańca, zniżki w zakładach fryzjerskich i salonach kosmetycznych itp.

Skąd jednak biorą się dostateczne fundusze na utrzymanie podobnej organizacji w należytej tężyznie? Temwięcej, że składka członkowska wynosi zaledwie 4 szylingi rocznie.

Rohö cieszy się wielkiem poparciem społeczeństwa, i wszelkie organizowane przez nią imprezy mają zawsze niesłychane powodzenie. To też Rohö urządza często wystawy gospodarcze z pokazami. Poza tem popularne są bardzo jej podwieczorki t. zw. „Hausfrau nach mittage". Urządza się taki podwieczorek z atrakcjami, koncertem, niekiedy fantową loterją. Jednocześnie firmy wiedeńskie robią wystawę ostatnich nowości i zniżkową sprzedaż swych artykułów.

Podwieczorki takie są najmilszą zabawą wiedeńczyków a organizacji gospodarczej kobiet przynoszą doskonałe zyski. Wartoby zaimprowizować podobną nowość i na warszawskim gruncie.

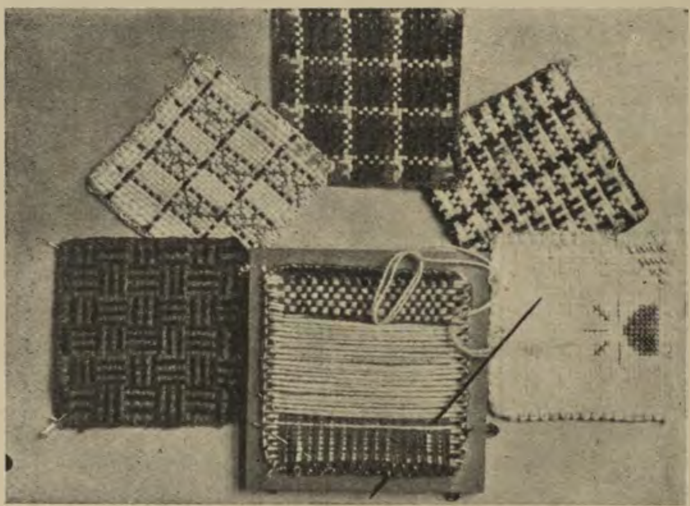
Marja Ankiewiczowa.

MODNE TKANINY

Wszelkie rodzaje materjałów, jakich używamy na nasze ubrania, bieliznę, okrycia i kapelusze, nazywamy ogólnem mianem tkaniny. Sposób wykonania tkaniny jest mniej więcej taki sam, gdyż zwykle używane są w tym celu jakieś warsztaty lub krosna, na których rozpina się osnowę w jedną stronę, a następnie przeciąga się w przeciwnym kierunku inną nić, zwaną wątkiem.

Tkanina, którą według wzoru chcemy opisać, należy również do tego rodzaju, różni się jednak tem, że może być tkana na warsztatach domowego wyrobu i różnej wielkości, stosownie do użytku.

Tkanina ta jest wytworem naszej ojczyzny, gdyż zapoczątkowała ją Polka, mieszkająca na wsi w okolicy Krakowa, i w ogromnie szybkim tempie rozeszła się ta umiejętność po kraju. Dziś wyrabiają z nej szale



szaliki, kamizelki, garsonki, torebki i czapeczki sportowe.

Warto zapoznać się ze sposobem wykonania.

Cały warsztat, to rama z twardego drzewa, spasowana na rogach, szeroka na cztery centymetry, odpowiednio gruba, ażeby wytrzymała prężenie gwoździków i rozpięcie tkaniny.

Wymiary według formy. Wokoło ramy wbija się dwa rzędy gwoździków bez główek, zwanych szewskiemi. Największą sztuką jest wbicie gwoździków w odstępach jednego centymetra równiutko w jednej linji, przy wewnętrznym brzegu ramy. Następny rząd wbijamy w odległości znów jednego centymetra od pierwszego rzędu, umieszczając gwoździki mijanego, to znaczy w pośrodku odległości dwóch gwoździ w pierwszym rzędzie.

Gwoździe muszą być długości przynajmniej czterech centymetrów, ażeby osnowa nie zesuwała się.

Gdy cała rama obita bardzo dokładnie, umieszczamy na rogu ramy po lewej stronie u góry duży, czerwony znaczek, gdyż z tego punktu rozpoczynamy zakładanie pierwszej osnowy.

Snujemy więc nić w ten sposób, że zawiązujemy oczko i umieszczamy je na czwartym gwoździku z boku po lewej stronie ramy i snujemy nić do pierwszego punktu. Dalej ściągamy do przeciwnego brzegu zaczepiając o pierwszy gwoździk wewnętrzny.

Wracamy znów w górę do następnego wewnętrznego gwoździka, snując nić lekko i równomiernie od czego zależy dobroć tkaniny.

Gdy cała powierzchnia została w ten sposób pokryta, obracamy ramę tak, aby znak na rogu znalazł się obecnie na lewej stronie, lecz na dole i zasnuwamy znów w ten sam sposób całą powierzchnię na gwozdzikach wewnętrznych.

Utworzy się w ten sposób rodzaj kraty, którą nazwiemy pierwszą osnową. Kończąc zawiązujemy nić lekko na ostatnim gwoździku, zostawiając koniec na jakieś dwadziescia centymetrów. Odmiennym kolorem zasnuwamy znów w podany sposób drugi raz całą powierzchnię, umocowując nic na gwoździkach zewnętrznych. Początek drugiego snucia musi być umieszczony w tem samem miejscu, gdzie pierwszy, zakończenie również. Następnie nawlekamy długą igłę kanwową, jakąkolwiek nicią z osnowy i dziergamy wokoło, wkładając igłę w każde oczko zaczepione o gwoździk, uważając, by się z niego nie zesunęło. W ten sposób obrabiamy trzy strony, zostawiając czwartą, przeciwną do tej, na której uwiązane były nici rozpoczynające snucie. Obecnie przystępujemy do przetykania. Znów nawlekamy nić do igły tak zwanej tapicerskiej, zdejmujemy ostrożnie pasemko z pierwszego gwoździka, uwiązujemy je do nici w igle i cerujemy tkaninę w tym samym rzędzie, z którego zdjęto oczko.

Gdy przewleczemy cały rząd, zawieszamy znów oczko na tym samym gwozdziku i wyrównujemy pasemka.

Pokrywamy w ten sposób całą powierzchnię, przesnuwając zawsze tylko pasemka z gwoździków po jednej stronie ramy. W czasie roboty poznajemy konsekwencję tego snucia.

Wreszcie dziergamy ostatni bok i zdejmujemy tkaninę z ramy, układając ją na stole pokrytym kocem i przez grube mokre płótno prasujemy gorącem żelazkiem po lewej stronie, przez co tkanina nabiera połysku. Chcąc uszyć z niej jakieś ubranie trzeba przyłożyć wypróbowaną formę, obstembnować wokoło na maszynie, i wówczas dopiero wykroić przedmiot.

Na kamizelkę z rękawami dla dorosłej osoby potrzeba mniej więcej trzydzieści pięć deka wełny Matadoru, i piętnaście deka jedwabiu.

Wzory można otrzymać za pośrednictwem Redakcji „Rodziny Polskiej".

Marja Stefkowa.

CO RADZIMY

Urządzić dobrze dom — to znaczy: wyzyskać dobrze każde w nim miejsce i zużytkować dla własnej wygody. Jeśli tobie będzie w domu dobrze, będzie w nim dobrze i twemu otoczeniu i twemu gościowi. Więc bez obrazy etyki możesz sobie pozwolić pod tym względem na najdalej sięgający egoizm, bo on będzie połączony zawsze z dobrem drugich.

Meble stare szanuj. Czepiają się po nich skrawki twego życia, dzieje twej przeszłości. Nie goń za modą w urządzeniu swego domu. Bierz z niej tylko to, co wygodne, higieniczne lub piękne, co słowem, podnosi kulturalny poziom urządzenia, a nie zamienia go w skład zbędnych przedmiotów.

M.

W STULECIE POWSTANIA

Dzieci polskie na wolnej już zrodzone ziemi,
Którym obca niewola łzy i przemoc wroga,
Westchnijcie przy pacierzu usty niewinnemi
Za poległych w obronie wolności — do Boga.

Sto lat mija od chwili, gdy, by skruszyć pęta,
Do walki z ciężkim wrogiem młódź polska stanęła —
I porwały za sobą wszystkich te orlęta
Okrzykiem: Żyj Ojczyzno! Polska nie zginęła!

W pamięć niechaj wam wrośnie: Wawer, Ostrołęka,
Stoczek, gdzie popłynęło krwi polskiej niemało, —
I Olszynka Grochowska... i serdeczna męka,
Gdy ulegli przemocy... lecz ulegli z chwałą.

H. Rostafińska-Choynowska.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Zofji M. w Lublinie. Aby pisać potrzeba, mieć dwa niezbędne warunki, a mianowicie: mieć zawsze coś do powiedzenia i mieć zdolności wypowiedzenia tego co się powiedzieć chce. Niech pani dobrze obliczy swe zasoby i przyśle „swe prośby", które przeczytamy i chętnie je ocenimy.

P. M. Koszel. w Wawrze. Komitet obchodu powstania trzydziestego roku w Warszawie jest w pełnym kontakcie ze wszystkimi komitetami wojewódzkiemi. Praca podjęto ochoczo przez serca gorące, oczywiście w ramach możliwości, da niezawodnie najlepszy wyraz naszych uczuć dla bohaterów walki o niepodległość kraju.

P. Irene Kobylińskiej, dziękujemy za dobre słowa, jakie pani na nasze ręce przesyła dla „Rodziny Polskiej" i solidaryzując się z pojęciami pani dodajemy, że człowiek winien oddać wszystko życiu — co od niego wziął. A jeśli raz, weźmie to sobie za dewizę swych poczynań, łatwo znajdzie sposoby do wprowadzenia jej w czyn.

P. W. Z. w Mławie. Słusznie zainteresowała sz. panią podana przez nas wiadomość o „Zjeździe Pań Domu". A dziś, skoro on jest już odbył, żałujemy każdej kobiety, która nie brała w nim udziału. Obszerne sprawozdanie da nam p. Ankiewiczowa, a tymczasem radzimy zaabonowanie miesięcznika „Organizacja Gospodarstwa Domowego". Adres redakcji: Warszawa, Mokotowska 51/53.

P. Wład. Kościel.. w Radomiu. Rada Naczelna Gospodarczego Wykształcenia Kobiet mieści się w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 149. — Tam zasięgnie sz. pani odnośnych wskazań i otrzyma informacje co do dalszej działalności.

KĄCIK DLA DZIECI

JĘDRKOWE SZCZĘŚCIE.

W małej ubożuchnej chatce popod lasem żyła stara babulka z wnuczkiem małym Jędrusiem. Dobry to był chłopaczek, tylko, że dziwny taki. Zawsze sam, z innemi dzieciakami bawić się nie lubił, nawet krowinę swoją gnał zawsze w inną stronę niż się wsiowe bydło pasło, by się z pastuchami nie spotkać. Kładł się na wygonie i patrzał jak się chmurki po niebie goniły, słuchał ptaszków świergotu, koników polnych grania i rozmyślał o tem, czego w zimie w szkółce wiejskiej się nauczył. Chodził do tej szkółki i chodził, a potem nauczyciel go osobno na naukę brał, bo mówił, że Jędruś jest zdolny, żeby go do szkoły innej dać, ale babka tylko ręką kiwała, ledwie z ciężkiej pracy siebie i Jędrka utrzymać mogła, a gdzie tam o uczeniu go myślec, nawet do terminu gdzie go dać, by się rzemiosła jakiego nauczył, nie stać jej było. Pomagał więc Jędrus babce jak mógł, a w myslach przeżywał wszystko czego się od pana nauczyciela dowiedział.

Raz w całej wsi zrobił się wielki hałas, bo zginął dziedziczce bardzo kosztowny naszyjnik, tyle tylko, że zdjąwszy go z szyi wyszła na chwilę z pokoju, gdy wróciła już naszyjnika nie było — jasny był dzień — nikogo obcego wokoło — w głowę wszyscy zachodzili, co się stać mogło.

Wyznaczono wielką nagrodę, szukali — przepadł jak kamień w wodę.

W całej wsi hałasu było niemało, sąsiadki do sąsiadek latały, gadania było co niemiara, toć i o babulki Jędrusia domek nie jedna zawadziła, a co i jak opowiedziała.

Minął już miesiąc od tego czasu, naszyjnik się nie znalazł — coś innego znów się wydarzyło, co ludzką myśl zajęło. Jeden Jędruś tylko pamiętał, a nieraz powzdychiwał: Oj, żebym ja ten naszyjnik dziedziczki znalazł a nagrodę dostał, tobym się miał za co uczyć .

Leży sobie raz tak w przypołudnie pod drzewem, a nad nim coś świergocze i krzekocze. Dwa wróble i sroczka usiadły na drzewie i gadają jedno przez drugie.

— Trzeba posłuchać, co one mówią — myśli Jędruś — toć one zawsze coś nowego wiedzą — ciekawskie wróble i sroczka plotka.

Wsłuchiwać się jął, z początku jazgot tylko słyszał, ale po chwili schwycił ich rozmowę.

— Wiesz-wiem! wiesz-wiem! — świergotały wróble.

— Co, co co, — pytała sroczka — krzywiąc łebkiem ciekawie.

— Stary kruk zdechł, stary kruk zdechł! — odpowiedziały wróble.

— Gdzie, gdzie, gdzie? — znów sroczka pyta.

— Na wieży! Na wieży! — krzyknęła jaskółka, która przelatując nad drzewem, zatrzymała się w locie.

— Tam skarb, tam skarb — zawołały wróble.

— Co, na wieży kościelnej! — wykrzyknął Jędruś. W jednej chwili ptaszki furknęły w górę i cisza zapanowała.

Przeciera Jędruś oczy — śniło mi się, czy to ptaszki mówiły. Jaki skarb? O Boże! A może to kruk stary ukradł ten naszyjnik pani — ale jaka wieża — chyba dzwonnica, chyba... zerwie się Jędruś i pędem leci w stronę kościoła. Właśnie kościelny na „Anioł Pański" przedzwonił, gdy Jędruś dopadł wieży. Lubił go pan kościelny, bo chłopiec chętny do pomocy był, więc mu wszędzie myszkować pozwalał i teraz nawet nie zapytał, poco się tam na strome schody Jędrek drapie.

A chłopiec śpieszył jak mógł, byle prędzej, bo jak się już sroka zwiedziała, to zaraz przyleci, a wiadomo, że sroka, jak i kruk, wszystko błyszczące lubi, porywa i do gniazda znosi. Wreszcie Jędruś dosięgnął szczytu wieżyczki. Tam tak ciasno, że tylko głowę i ramiona wsunąć zdołał, rozgląda się — w rogu wielkie gniazdo puste — przetrząsać jął je gorączkowo, coć dźwiękło, podnosi Jędruś: naparstek mosiężny — pewnie Matysowej, co jej to łońskiego roku w sadzie zginął. Szuka dalej — różne jakieś blaszki święcące znajduje, stare kółka i łańcuszki od uprzęży, aż wreszcie coś długiego przesunęło mu się przez palce, wyciąga Jędruś ostrożnie, ani chybi, naszyjnik dziedziczki. Na złotym łańcuszku kamyki jakieś białe, przeźroczyste jakby szkło, ale w słońca blasku, co pada przez okienko, mienią się niby tęczą. Takich cudności jeszcze Jędruś w życiu swojem nie widział.

— Krze, krze, krze — usłyszał zdala głos sroczki, oprzytomniał, szybko na dół się spuścił i pędzi co sił do dworu. Próżno za nim pan kościelny woła:

— Jędrek! Jędreek! Ani się obejrzy. Aż machnął kościelny ręką — oszalało chłopczysko, czy co?

A Jędruś przed gankiem staje i akurat samą panią dziedziczkę spotyka — ledwie dech łapiąc od biegu wielkiego, z za świtki wyciąga skarb kruka i dziedziczce pokazuje.

— Mój naszyjnik! — wykrzyknęła pani —gdzieś go chłopcze znalazł?

W kruczem gnieździe — oddychając ciężko, odpowie Jędruś.

— Gdzie? W kruczem gnieździe? — A Jędruś tylko głową kiwa. Wzięła go dziedziczka za rękę, do pokoju zaprowadziła, kubek mleka i kromkę chleba z masłem dała, a gdy Jędruś wypoczął i podjadł, co i jak pytać poczęła.

Jędruś wszystko dokładnie opowiedział: jak to naszyjnik znaleźć pragnął i nagrodę otrzymać, jak ptaszków rozmowę podsłuchał i jak do kruczego gniazda się dostał...

— A na cóż ci chłopcze ta nagroda? Cobyś zrobił z temi pieniędzmi? — pyta pani.

— Co jabym robił? Zostawiłbym trochę babce, a za resztę pojechałbym do wielkiego miasta — na naukę.

Dziedziczka się uśmiechnęła, pogłaskała Jędrusia po główce, a że już coś niecoś o nim od pana nauczyciela słyszała, więc powiada:

— Masz tu Jędrusiu trochę pieniędzy, zanieś babci i powiedz, że będziemy mieć o nią staranie, a ciebie na naukę do wielkiego miasta wyślemy, skoro tak tego pragniesz.

Oj nie było szczęśliwszego chłopca nad Jędrusia.

A że się uczył pilnie, więc wyrósł na mądrego człowieka ku pożytkowi swej ojczyzny.

H. Rostafińska-Choynowska.

Wydawcy: **Stow. Mis. Księży Pallotynów.** Redaktor: **Leon Radziejowski**

Redaktorka działu kobiecego: **Lucyna Kotarbińska.**

Wykonano w Drukarni Domu Prasy Katolickiej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

Czy i ty poparłeś

DZIENNIK KATOLICKI

„POLSKA"

Jeśli nie to zamów jeszcze dzisiaj i zachęć drugich.

Bądźmy bojownikami dobrej prasy.

MIESIĘCZNA PRENUMERATA zł. 4,50.

Zażądać bezpłatnych okazowych numerów.

ADRES:

DOM PRASY KATOLICKIEJ
Warszawa, ul. Krak. Przedm. 71.